

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

05332
1904

05332/1904

ATENEVM



II

1904

Luty 1904.

TREŚĆ.

| | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| I. STULECIE KANTA . . . przez <i>Cezarego Jellentę</i> | 113 |
| II. OKTAWIUSZ MIRBEAU . . . „ <i>Jana Lorentowicza</i> | 119 |
| III. DWIE SYLWETY I JEAN RICTUS „ <i>Zygmunta Macza</i> | 128 |
| IV. „ „ I I PIOTR LOUYS „ <i>Agni</i> | 134 |
| V. NOC RABINOWA. „ <i>Tadeusza Micińskiego</i> | 137 |
| VI. RĘCE „ <i>Władysława Sterlinga</i> | 161 |
| VII. Z VERLAINE'A „ <i>Henryka J. Kamińskiego</i> | 164 |
| VIII. JAJO KRYSZTAŁOWE „ <i>H. G. Wells</i> | 168 |
| IX. CZŁOWIEK, KTÓRY MÓGŁ ROBIĆ CUDA. „ <i>H. G. Wells</i> | 184 |
| X. KUSZENIE HARRINGAY'A . . . „ <i>A. Wrzesień</i> | 201 |
| XI. KRYTYKA. | |
| 1) René Ghil, „Le pantoun des pantouns“ „ <i>A. L.</i> | 207 |
| 2) Leon Rygier „Hańba dusz“ powieść „ <i>L. Chor.</i> | 211 |
| 3) „Z powodu ostatnich prac M. Zdziechowskiego“ „ <i>P. Chmielowskiego</i> | 212 |
| XII. MISCELLANEA. | |
| 1) „Obnażenie dusz“ „ <i>A. Bar.</i> | 214 |
| XIII. BIBLIOGRAFIA. | |
| XIV. ODEZWY. | |

Handwritten signature



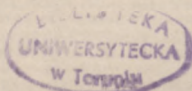
ATENEUM.

WARSZAWA.

ROK II. TOM I.—ZESZYT II. LUTY 1904.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Феврала 1904 г.



05332

[Handwritten signature]
[Handwritten signature]

K. 2594/61

Stulecie Kanta.

„...Zresztą brak miejsca nie pozwala nam na dokładniejszą charakterystykę tego wielkiego filozofa“.

Szablon.

Nie wiele są warci filozofowie, których tytuły do wielkości, jak tytuły zaborczych książąt, trzeba wymieniać na kilkunastu stronicach. Prawdziwi odnowiciele myśli, istotni twórcy wielkich całokształtów ideowych, mają to do siebie, że można ich ogarnąć jak kontur, jak wrażenie, że samo ich imię wywołuje w nas pewien charakterystyczny oddźwięk uczuciowy, myślowy — niby pewna barwa lub zapach.

Geniusz osiada na dziejach i na ludzkości, jak krystaliczny osad duchowy, którego analiza nie wymaga obfitych słów. Te jego pierwiastki, które potrzebne są przyszłości i mają trwać, powinny w zwierciadle sądu naszego osiągnąć formę prostą, pochwytną, indywidualną. Samo nazwisko staje się z czasem wymownie ekspresywnem, szeroko a zwięźle symbolicznem, jak dajmy na to, nazwisko Platona lub Spinozy. Nie trzeba streszczać pierwszego z nich, nie trzeba wdawać się w szczegóły jego systemu, aby wywołać przed umysł to, co stanowi charakterystyczny rdzeń idealizmu (ideologii); nie trzeba rozwodzić się nad wyłożoną po-

rządkiem geometrycznym etyką Spinozy, ażeby w duchu wynurzył się obraz potężnie zwartego panteizmu, w którym świat jest Bogiem a Bóg światem.

Jeśli Emmanuel Kant jest wartością przełomową, — a musi nią być, skoro całe stulecie ubiegłe od jego śmierci rozbrzmiewa jego chwałą i odbrzmiewa jego wpływem na wszystkich polach myśli filozoficznej — to i jego nazwisko powinnyby mieć taką samą własność jak powyższe, to jest odrazu wyczarowywać przed oczy i przed myśl naszą — kolor i zarys jego odkryć i teoryj, wogóle dokonanego przezeń dzieła.

Jakoż, w rzeczy samej tak jest.

Kantyzm to symbol *niebotycznej przegrody*, która nam zasłania w ten sposób wszystkie rzeczy, że nie możemy ich widzieć takimi, jak są same w sobie.

Kantyzm, to synonim *nieuniknioności takiego stosunku* naszego umysłu do wszystkich rzeczy, że jawią się one odrazu ujęte w jego formy: jako mające trwanie, zajmujące przestrzeń i t. d. To znaczy, że nasz ustrój poznawczy przyjmuje je odrazu we właściwy sobie sposób i inaczej ich przyjmować nie może.

Kantyzm, to olbrzymie *napomnienie*: zanim zaczniesz budować dogmaty prawd, albo zaprzeczać możności poznania prawdy, to jest nim wystąpisz jako dogmatyk lub sceptyk — zbadaj. Skrytykuj wprzód swój układ poznawczy, swój czysty, poznawczy rozum.

Kantyzm wreszcie, to najwyższe, jak dotąd, *wcielenie ostrożności* i rozwagi badawczej, przyobleczone w taką powagę, w taki majestat bezstronności filozoficznej, w taką górność tonu wyższego nad wszelkie uniesienia goryczy lub zapędu, jakie jedynie przystoją wobec ogromu zagadnienia wszechświata, wobec dostojeństwa bytu, kosmosu, przyrody, Boga, duszy, wreszcie wobec bezmiernej przebytej dotąd przez ludzkość drogi dociekań.

Bo jakkolwiek podważa ideę kantyzmu dalsza filozofia, która nigdy przecież nie spoczywa i nie zatrzymuje się na długo na zdobytych stanowiskach, jakkolwiek już podważono go z niejednej strony, trzyma się on i niewiadomo jak długo trzymać będzie wspaniałym fundamentem swej dojrzałości, swego przeciwieństwa z naiwnością w budowaniu systematów. To nic, że butnie podnoszą głowy filozoficzni realiści, którzy

biorą po prostu rzeczy tak jak są i nie uznają sięgania umysłem po za jakąś przegrodę; to nic, że ta dyletancka siostrzyca filozofii, która się nazywa literaturą, jako bardziej młodzieńcza, zapalna i energiczna — dźwiga sobie coraz to nowe ołtarze absoulutu i buduje różne „salonowe metafizyki“ — faktem jest, że przez Kanta została nam wszczepioną głęboko nieufność względem wszelkiego dogmatyzmu, wszelkiej taniej architektury na temat spraw transcendentálnych. Nawet tak zwana krytyka fachowa nadwreżyła jedynie niektóre zręby gmachu, nie wstrząsnawszy same mi posadami. Między innymi np. pojęcie o aprioryczności niektórych sądów syntetycznych, które posłużyło Kantowi za jeden z punktów wyjścia przy badaniu apriorycznej natury form poznawczych naszego umysłu, spotyka się z ostrymi zarzutami, — nie mniej przeto jednak poczucie pierwotności i nieodrodności tych lub *pewnych* form, z góry kształtujących w pewien sposób szczególny naszą intuicyę rzeczy — zostaje jasnym, narzucającym się z siłą, drogowskazem.

Z tą siłą połączył się imponujący nakład myśli i wywodów pośrednich, zdumiewająca swoboda obracania się w półmroku rzeczy bardzo trudnych i oderwanych, fenomenalny dar konstrukcyi logicznej a przecież i nie zasypującej oczów rozmyślnemi łamigłówkami. Zawrotne rusztowania są u Kanta, niestety, właściwością stałą, ale biorą początek z okropnej tradycyi dawniejszej filozofii i nałogów dyalektycznych.

Kombinacya tylu i takich danych zapewniła Kantowi przewagę nie tylko na przyszłość ale i w stosunku do przeszłości, zwłaszcza do tej starej, greckiej, co to w rzeczy samej miała u siebie w zarodkach i pierwokształtach wszystkie możliwe doktryny filozoficzne.

Słowem, myśl krytyczna, zgoła nie nowa w istocie swej, ani olśniewająca oryginalnością, zdobyła sobie w osobie Kanta niebwywały i na długo — autorytet — i wszystkie cechy wysokiej odrębności.

Odrębność ta wzrasta i coraz więcej zdumiewa, w miarę jak do filozofii teoretycznej („Kritik der reinen Vernunft“) przybywa praktyczna („Kritik der praktischen Vernunft“), ażeby oszołomić niespodzianością swoich rezultatów, i wreszcie nie mniej rozległy i na olbrzymią skalę zakreślony rozbiór pojęć dotyczących celu, stosowności, odpowiedniości, zgodności z założeniem, — piękna, sztuki i t. p. („Kritik der Urtheilskraft“).

I tu i tam droga mozolnych roztrząsań i błysków myśli jasnych jak

objawienie, uwieńczona została kwintesencją orzeczeń, równie zwięzłych, jak mocnych i ostających się przed najgwałtowniejszymi atakami.

Zasada, że osobowość boska, wolność woli, nieśmiertelność, wobec których filozofia teoretyczna, czystego rozumu, odważyć się musi na postawienie znaku pytania, narzucają się nieodbicie jakimś, kategorycznym, intuicyjnym, „praktycznym postulatem“, poszeptom i wymogom, jako fakta — jest nie tylko dowodem dumnej niekonsekwencji. Jestto zarazem sankcya dwoistości i złożoności natury ludzkiej, widzianej pod formą wiekiustą, wyższą od małodusznego truchlenia przed krytyką człowieczków, z jednej sztuki materji wykrojonych. Nie omieszkali oni wybuchnąć śmiechem na tego Sasa i Lasa. Ale śmiech przebrzmiał a tajemnicza niepewność i chwiejność pozostała ozdobą filozofii i człowieka. Inni znowu chcieli widzieć w niej nawrócenie się, odwołanie, osłabienie tężyzny prometejskiej. Tyle lat i stuleci paradowano butną konsekwencją, że mało kto pogodzić umiał w myślicielu dwie rzeczy tak różne i nowe: surowość wymagań i metody — z dwoistością punktów widzenia.

Podobnież maksyma etyczna, że postępowanie powinno być takim, ażeby mogło być jako zasada obowiązującym dla wszystkich, — albo idea wewnętrznego nakazu moralnego — są prawdami, świecącemi jasnym indywidualnem światłem. Można obok nich rozpaść inne światła, inne prawdy, ale zaćmić niepodobna. Mają w sobie jakąś szacowność głęboko w naturze ludzkiej tkwiących kanonów. Można je różnemi nowszemi i bardziej efektownemi etykami zbić — odradzają się jak feniksy. Są ro monumenta, które przy szturmie miasta wałają się w proch — ażeby po wojnie zostać odbudowanymi — przez wroga.

A już najprzniekliwszem jest uchwycenie istoty piękna, iako upodobanie bezinteresownego, niezależnego od użytkowej wartości przedmiotu *a nawet od samego jego istnienia*. Tu Kant w sposób niebywały i niemał nieprawdopodobny zrzucił naraz cały ciężar tezy, tendencyj, idei, całego taboru towarzyszącego filozofii, i ujął sztukę w formułę przedziwnej czystości, przytem ścisłą, zwartą. I jest to chyba jedyny z filozofów dawniejszych, którego artysta dzisiejszy cytować może i musi, ilekroć bronić ma czystości sztuki. Najcieńszy mastodont abstrakcyjnej myśli — argumentem w rękach malarza, więcej nawet — jego nauczycielem estetyki.

Ta pozorna sprzeczność w Kancie nie jest pierwszą — z jedną już

się przed chwilą zetknęliśmy — a jest ich znacznie więcej i wzięte razem, dodają, jak zobaczymy, niezwyklej sympatyczności tej suchej fizyognomii mędrca.

Kant chciał dowieść bezzasadności metafizyki i dla wielu dowiódł jej, a przecież własnem sięganiem do wrót niezbadanego pomógł się utrzymać filozofii na wyżynach wielkich twórczych koncepcyj. Bezwzględny krytyk i niby wyłącznie teoretyk poznania — roztoczył dokoła atmosferę pomysłów transcendentálnych. Obracał się w takich wysokich regionach, że jego ścisłość naukowa i trzeźwość bynajmniej filozofii na poziomy nie ściągnęły. Odtrącając od progu „rzeczy samej w sobie“ — tem samem zaznaczył mocniej jej byt, jej dręczącą sfinksowość, jej zwierzchniość w sferze zagadnień ogólnoludzkich. Co miało być odpychającym i niedostępnem, stało się pokusą.

I jeszczebym do tych niekonsekwencyj zaliczył pogląd Kanta na sprawy humanitarne. Choć dyktował ludzkości twarde, jak ktoś niegdyś dobrze powiedział, „żołniersko“ surowe nakazy i wołał: Powinieneś! — wierzył w przyszłe powszechne porozumienie, którego wyrazem będzie jakaś powszechna rzecz pospolita. Tam szorstkość, bezwzględność, twardość — a tu wiara, topniejąca prawie w marzenie. I ma to urok nielada, a tem większy w epoce „narodowych demokracji“ i kultu „czystej rasy“ — gdy się przypomni, że takie wielkie jutro ukazało się wielkiemu filozofowi, który nie był ani utopistą, ani doktrynerem, a słowa swoje i myśli ważył na szalach nieubłaganej autokrytyki.

Oto splot sprzeczności; daje on w rezultacie niesłychaną syntezę. Bo to co jest sprzeczne przedmiotowo — nie jest niem bynajmniej podmiotowo, w umyśle twórcy, choćby ten wstępem swym albo charakterem niektórych swych poglądów przygotował nas do innych konsekwencyj, innych dalszych ciągów, innego działania na świat. W umyśle Kanta, spekulatywność tak dalece nie osłabiła humanizmu — że zdaje się nam, jakoby raz po raz z wyżyny swej strasznej mównicy wyciągał do nas życzliwą rękę. W nim łączą się przeciwne tendencje i uzupełniają wzajem, jak w człowieku złożonym, zbiorowym, zwielokrotnionym. Jestto synteza wszechludzka, wygłoszona przez jedne usta.

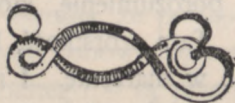
Dlatego to wszyscy przez całe stulecie po jego śmierci mogą się nim pożywiać. Kogo nie stać na ogarnienie go w całości, lub komu wyda-

je się, że jest wyższym nad jego sprzeczności, jeszcze bierze pojedyncze olbrzymie kawały jego rudy, żeby z nich wytapiać czysty kruszec.

Niemcy tę wielką rocznicę obchodzą uroczystem, naukowym świętem — jest to naturalne, lecz jakże zarazem potwornie śmieszne! Ażeby mózdz przypomnieć światu i sobie, że są spadkobiercami Kanta, muszą odrzucić wprzód połowę i to najszlachetniejszą może spuścizny: humanitarną ideę przyszłego braterstwa ludzkości.

Cała pociecha, że lepsi między nimi głośno sami się z tego śmieją...

Cezary Jellenta.



Studia z literatury francuskiej.

Oktawiusz Mirbeau.

III.

Przekonywamy się o tem jeszcze głębiej, gdy rozpatrujemy „Sebastjana Rocha“, utwór, w którym najdobitniej i najwyraźniej ujawniły się charakterystyczne znamiona talentu Mirbeau. Uderzy nas przede wszystkim odwaga w poruszeniu tematu, który, o ile wiem, nigdy w powieści dotykanym nie był, o którym ludzie mało wstydliwi szepcą sobie ze wstrętem do ucha. Nie lęka się Mirbeau potworności moralnej; przeciwnie, umie znaleźć w niej źródło wstrząsającej grozy. Akcję rozwija pozornie za pomocą bardzo subtelnych narzędzi psychologii, ale w powiązaniu faktów, w kolorycie, w doborze fałszywie miękkich słów, w ironicznym przeciwstawieniu wypadków, w drażniącym uwypuklaniu występku, w umiętżonym nakrywaniu zbrodni przejrzystą gazą cnoty — nie jest psychologiem, lecz tendencyjnym pamflicistą obyczajów, surowym sędzią, który chowa w sobie ukryte zadowolenie, że wydał wyrok tak złośliwie upowodowany. Nie znam powieści bardziej gorzkiej i przygnębiającej. Jezuici w Vannes, po przeczytaniu jej, musieli mieć przez długi czas zakłócone sumienia. Oni to bowiem, ci dawni nauczyciele Mirbeau, wychodzą tu na scenę, jako bohaterowie, im to, a przez nich społeczeństwu, postawiony jest zarzut złamania życia, zgwałcenia i zaduszenia słodkiej, pięknej, szlachetnej, poetycznej duszy Sebastjana Rocha, syna blacharza z małej miejsciny bretońskiej.

Mały Sebastyan posiada kobiece usposobienie, serce podobne do jakiegoś cichego płomyka, który zgasnąć może za lada mocniejszym rzeczywistości podmuchem. Drżą w nim lękliwie jakieś odczucia i przeczucia, które proza powszedniego żywota wypłazga z nieubłaganem okrucieństwem. Ucho duszy nastawia zawsze na głos nieokreślony, taki, którego żaden człowiek nie słyszał, ale który, jak mówi Miriam: „śpi przecucio wo w najtajniejszych kątkach serc i niekiedy pośród milczeń, pośród wiosennych woni, śród zachodu łun czarodziejskich, śród smutków serdecznych, cichutkiem dzwoni, ledwie dosłyszalnym echem.“ I wrażliwe, przeczulone, uczuciem wybujałe dziecko wrzuca stary, próżny blacharz — ojciec do arystokratycznego kolegium w Vannes. Nieszczęśliwa ofiara chować musi, jak straszne przewinienie, wszystkie przejawy lękliwych, nieśmiałych drgnień serca. Przechodzi powolne, codzienne katusze pośród zgniłych paniczyków, którzy mu nieustannie pokazują rozdział pomiędzy nim — synem blacharza, a nimi — synami najpierwszych rodzin francuzkich. Chłopiec rwie się do rysunków, do muzyki, a tymczasem zabraniają mu tego; wszystko, co go czaruje, co go dziwi, w czym odczuwa tajemny związek z własną naturą, zasłaniają mu gęstą mgłą. Mechaniczna nauka przytępia mu pamięć, więc się nie uczy, uważany jest za leniucha i nieuka. Poniewierany przez profesorów, maltretowany przez głupiego ojca, musi Sebastyan zbliżyć się do takiego paryasa, jakim jest sam. Na towarzysza niedoli dał mu los młodziutkiego kolegę Bolorec'a, ociężałego i zawziętego syna doktora z okolicy. Poniżenia od paniczyków znosi on z pogardliwą cierpliwością; spokojnie, ale gruntownie wyrasta na przyszłego działacza społecznego. Teraz chłopczyna tylko pięści zaciska i czeka odwetu i pewny jest, że odwet ten przyjść musi, bo przecież kiedyś okropne kolegium ulegnie na pewno pożarowi, który i jego i Sebastyana z niewoli wywiedzie... Tymczasem Sebastyan całe lata pędzi w bolesnym osamotnieniu; własne dziecinne myśli zamienia na wypadki, niekiedy na nieszczęścia. Jakimż dramatem staje się jego pierwsza komunია, odbyta w chorobliwym przerażeniu, w płaczu i okrzykach! Ogarnęło go takie wzruszenie, chwycił go taki skurcz, że się zakaszłał i hostya z ust wypadła... Rozdrażniony chłopiec nowe ma źródło tortury; szuka dla siebie umartwień, chce być podobnym do świętych, których czytano mu żywoty... Cała jego istota potrzebuje miłości, odrobiny mądrego przywiązania, ciepłego serca, dobroci, któraby w marzenia jego wejrzała, burze rozstrojonej wyobraźni uspokoiła. Znalazł się wreszcie pocieszyciel, znalazł się człowiek, który nieszczęsne warunki zrozumiał, potrzeby chłopca dostrzegł i — ku swoim celom wyzyskał. Był to jeden z profesorów, de Kern, „esteta“ à la Oskar Wilde, przedstawiciel tych

opłakanych stosunków w internatach francuzkich, które się przed kilku laty ujawniły publicznie w sławnym procesie kolegium w Citeaux. Oplątał de Kern Sebastjana słodkimi gawędami, poezją, mistyczną wymową i pod osłoną wzniosłej pieczy o jego duszę, zwolna a dyabelsko zamiar swój przeprowadza. Cała noc zbrodni rozwija się z wielkim nakładem plastyki, utajonej złości i talentu autora. Jezuita widzi, że dziecko, pomimo wszystko, pozostaje w umyśle czyste i zbuntowane, więc w obawie zeznań, denuncjuje Sebastjana, denuncjuje ohydnie i fałszywie i doprowadza do wydalenia chłopca ze szkoły. Skazany na infamię Sebastjan, przed opuszczeniem kolegium składa jeszcze przysięgę, że prawdy nikomu nie wyzna, a to w imię wyższych interesów szkoły i korporacyi szanownych ojców! Znosi wszystkie niesprawiedliwości z dumą skrzywdzonego niewinnie człowieka, na tle której rozwinęło się już tyle dramatów życiowych. Połamany, zgorzkniały, zbolały wchodzi w szare, ponure życie, o którym wyrobiono w nim niezbyt rozkoszne wyobrażenie. Wykolejony, wpędzony w nałogi, staje się odmianą księdza Juliusza: nie ma on celu, ani możliwości regularnego życia, nie czuje do niczego zamiłowania, a wreszcie, aby ironię swego istnienia zapieczętować — ginie na wojnie 1870 r., ginie — dla Ojczyzny!...

„Sebastjana Rocha“ podzielić można na dwie, nierówne pod względem wykonania, części: pobyt w szkole i życie w domu, po wydaleniu z zakładu. Jądro pomysłu autorskiego mieści się w części pierwszej, w której zebrał wszystko, co miał najlepszego do powiedzenia. Tu się mieści pamflet właściwy, ta część dyszy werwą, imponuje opanowaniem szczegółów i ma doskonałą jednolitość nastroju, pomimo wielokrotnych przesadnych zestawień. Sylwetki ojców Jezuitów, stosunek ich do chłopca, dusza potwora, który po spełnieniu zbrodni sam słuca spowiedzi swej ofiary, aby tajemnica grzechu innemu wyjawioną nie została — wszystko to szczegóły niezawodnie okrutne i chociaż wzięte z rzeczywistości, bardzo wyjątkowe. Ale wyciągnie fałszywy wniosek ze słów powyższych, ktoby przepomniał oświadczenia, że szlachetnością stylu, powagą i polemicznym nastrojem dąży Mirbeau do celu moralnego, że staje w pierwszej części bardziej jako oskarżyciel, niż jako zręczny reżyser wypadków. Nie przeszkadza to zresztą, że występuje tu jako artysta pierwszorzędny. Niektóre, spokojniej malowane postacie, należą do najlepszych pono z tych, które Mirbeau kiedykolwiek stworzył. Jakiż np. wyborny, jak delikatnie wycieniowany jest ten próżny, stary Roch, który posyła syna do kolegium i wyobraża sobie nieświadomie, że sam odnosi korzyść z wykształcenia chłopca że sam dąży do jakichś najwyższych stopni społecznych! Jaki on jest bie-

dny, jaki godny litości, gdy na kolanach błaga Jezuitów i chce ich pieniądze zarzucić, żeby tylko syna nie wydalili! Jaki potem rezygnacyjnie ponury w swym bólu, gdy „niegodny“ syn wszystkie jego nadzieje zawiódł! Podobnie jak wielu dzisiejszych pisarzy francuzkich, pociągnęło tutaj i rozgrzało Mirbeau „wyniosłe piękno brzydoty“, piękno *à rebours*, istniejące w ideale, który stawia przed oczy nędza, opuszczenie i połamanie...

Za to część druga „Sebastjana Rocha“ znacznie jest słabsza. Pojmuję, że Sebastian zatapia się w rozpaczliwe rozmyślenia zdeptanego człowieka; pojmuję, że ma urazę i odrazę do wszystkich: ojca, znajomych, społeczeństwa — że dla wszystkich jest niesprawiedliwym. Ale dlaczego gnije sercem, kiedy je przecież z kolegium, mimo okrutnych zamachów i niesprawiedliwości, wyniosł czyste i wyniosłe? dlaczego się broni przed miłością zepsutej, młodziczej swej sąsiadki, która całe miesiące traci, zanim go uwodzi? Powstrzymują go zbyt niejasne skrupuły uczciwości, która przecież dla niego istnieć już nie może, której on odczuwać, ani uznawać nie będzie. Takie usterki zjawiają się u Mirbeau zawsze, gdy z roli swej wychodzi: nie znajdując w przedmiocie treści, która go samego roznamiętnia, przestaje się nią szczerze interesować i mniej już dba o czytelnika. Artysta słabnie przed pamphletistą społecznym, który zawsze dąży do rozpostarcia swego jedynowładztwa.

Mirbeau nie lubi Paryża. Od czasu, gdy razem z Janem Mintié wyjechał na prowincję, unika wyniosłe wrzawy paryskich snobów, próżności paryzkich dorobkiewiczów politycznych, literackich i artystycznych. Pograżył się cały w uwielbienie przyrody i rozmiłował się w kwiatach, nie tylko dlatego, że piękne, ale że są węższe i delikatne. W sławnym swym ogrodzie hoduje najrzadsze rośliny, sprowadzone z Anglii, Holandii i Francji, zioła, które „miły gwałtownik“ (tak go nazywa Goncourt) sam sieje, zbiera, przesadza, szczepi, które pieści z bratnią czułością panteisty. Nieopodal od swej „strzechy“ widzi lasy i Sekwanę. W tem otoczeniu znajduje doskonałą kąpiel harmonii i spokoju, których mu tyle potrzeba. W krajobrazach jego, rozrzuconych po pismach i drobnych opowiadaniach, spostrzegane obrazy tak się z jaźnią autora mieszają, że spływają w jedną całość. Niepokojne są zawsze, drżą jakąś tajemną obawą, chorobliwym smutkiem. Niekiedy zapuszcza się Mirbeau aż w duszę drzew i, na tle stosunku człowieka do rośliny, maluje barwne wizje. Głębokie odczucie natury, miłosne, namiętne przywiązanie do ziemi, wiecznie młodej, promieniejącej, obojętnej na nasze nędze i radości, pokazał zwłaszcza w swoich „Listach z pod strzechy“. Przebija tu szczerze, niehamowane wzruszenie wobec zórz,

zmierchów, rozpalonych tarcz słońca południowego i poważnych nocy letnich. Za to ile razy wprowadzi na scenę człowieka, na łonie tej cudownej natury rozwiniętego, ośmieszy go ironią, zożydzi szyderstwem. Zarówno w „Listach“, jak w wydanych następnie „Gawędach“ podkreśla jaskrawo a zręcznie znane cechy chłopca normandzkiego: skąpstwo, egoizm, okrucieństwo, gruby materyalizm, całkowitą obojętność na wszelki idealniejszy pierwiastek. Niektóre obrazki tyle mają spokojnego, niemal pogodnego humoru, jakby nie z pod ręki Mirbeau wyszły. Jakiż zabawny jest ten chłop („Sąd pokoju“), co się skarży w sądzie na gacha, ponieważ ten nie wypłacił umówionej sumy za ustępstwo żony! Jak wybornie rysowany bezbożny Gibory, który obiecał wypowiadać się za butelkę starego wina! Kilka doskonałych obrazków dostarczyły historie śmierci i pogrzebów wiejskich — wypadków całkiem dla chłopca obojętnych. Nastrój, jaki wywołują, udzielił się samemu autorowi; nie wie, czy ma „podziwiać, czy przeklinać nieczułość chłopca wobec śmierci, która przecież zmusza psy do wycia w pustych legowiskach, która płacze jakby łkaniem w świegocie ptaków nad opuszczonymi gniazdami“.

Liczną jest galeria maniaków, blagierów wiejskich, chorobliwych marzycieli, nędzarzy i zbrodniarzy, których sylwetki Mirbeau szkicował. Chociaż traktował je wszystkie chłodniej niż typy miejskie, nie ustrzegł się przecież zawadyackiego, ostrego, polemicznego tonu, który w nim zdawna przemagał i który go pchał do artystycznej publicystyki.

Potrzeba wypowiedzania swych gniewów w formie krótkiej, jędrnej, nie ograniczonej żadnymi wymaganiami umowy literackiej, a przecież artystycznej, była u Mirbeau zawsze mocniejszą, niż chęć pisania powieści. Dawniejsi czytelnicy „Figara“ pamiętają dobrze jego namiętne, gorące wycieczki i zaczepki, jego wyłączne sądy zarówno o tępym „starym“, jak o młodym w literaturze i sztuce: pierwszych deptał i znieważał, drugich brał w obronę, zajmował się wszelką odwagą, hardością, wszelkim śmiałym lotem. Wszystko, co światowe „Figaro“ wznosiło, on swym pisaniem obniżał, a wszystko, co niesłusznie poniżało, on właśnie podnosił. Jeden z jego artykułów, poczytywany za arcydzieło języka, urósł swego czasu do pierwszorzędnego wypadku paryzkiego. Z najtajniejszych, zda się, skrętów mózgu wylał w nim Mirbeau całą złość i wzgardę, jaka się przez długie lata gromadziła, aby pod pręgierz stawiać „komeanty“, którzy we współczesnym życiu Paryża zyskali tak potężne znaczenie. Aktorzy stolicy zebrali się w kilkuset na wielki sejm, na którym wyrazili autorowi artykułu, w nieudolnym wniosku, „lekceważenie i pogardę“.

Wówczas chwycił się Mirbeau redakcyi na własną rękę, założył pam-

fletowe pismo „Grimaces“, w którym zamiast programu, umieścił grzmiącą „Odeę do cholery“, a w niej wskazanie posłannicze piekiel, kogo i co winna we Francji wytrzebić... Pismo sprowadziło na redaktora tyle pojedynków, że je wkrótce zamknął, tembardziej, że otwierano mu wszędzie łamy dziennikarskie.

Przez wiele lat chwytałem ciekawie do ręki niedzielny „Le Journal“, gdzie Mirbeau pisywał swe fantastyczne gawędy. Pośród szarych, prawną umową zastrzeżonych nowel, kilkaset wierszy Mirbeau odbijały wyraziście, nęciły pomysłem, ognistym rozpędem i tęgością. Bywały tu, jak dawniej, widziadłowe krajobrazy, zjadliwe dyalogi, malujące różne potworności mieszczańskie, sylwetki ponurych mścicieli swoich krzywd. Najczęściej jednak okładał autor żmijowymi biczami sarkazmu jakieś znane, wybitne postacie, sztuczne powagi, już to zgarbione pod ciężarem własnej sławy, już takie, którym pycha i próżność karki wypręża. Czasem nakrywał je przejrzystą gazą pseudonimów i przymówek, zwykle przecież nie zadawał sobie tego trudu. Układa mistyfikacyjną rozmowę z jakim uznanym filarem Akademii, polityki, lub buduarowego romansu i rozpoczyna — od dytyrambu. Nie łudzi nas wszakże ta słodka przygrywka: poznajemy odrazu, że jastrząb wzrok swój podnosi nie dlatego, żeby się kąpać w lazurach i dla skrzydeł swoich brać pozłotę od słonecznego blasku, ale że upatruje wygodny dla siebie łup, na który za chwilę uderzy z góry, z zaostrozonym dziobem i pazurami i będzie go szarpał, aż „do szkieletu rozbierze zeszcłe myśli ciało“. De Maistre mówił o Wolterze, że „człowiek zły nie bywa nigdy zabawnym“; zmieniłby to zdanie, gdyby czytał pamfletowe zaczepki Mirbeau. Pobudzają one do szczerego śmiechu, śmiechu uczciwego, bo karzącego tych, co powchodzili sami na ołtarze i wpierają w głupców, że są bogami sztuki. Mają zresztą pamflety Mirbeau inną, bezwiednie już humorystyczną stronę; polemiczna ich maczuga spada z jednakową mocą na nędzne stonogi, jak na królewskich tygrysów. Powiększa to często przedmiot, wznosi go do takiej wyżyny, że pod ogromem gwałtowności ginie nam z oczu skromny przyjaciel, którego chciano chwalić, lub nikły wróg, skazany na rozdeptanie.

Mirbeau uchodzi w pewnych sferach za wytrawnego znawcę malarstwa i rzeźby, co, niestety, słusznem nie jest. Umysł zbyt namiętny, oczy zbyt rozpalone nie umieją rozważać spokojnie dzieł sztuki. Sądy jego artystyczne cechuje wyłączność i bezwzględność. W całym wieku dziewiętnastym znalazł jednego tylko rzeźbiarza: Rodina „wielkiego, genialnego Rodina“, pokrewnego mu życiową frenezją; w malarstwie — po za Manetem, Monetem, Degasem, Renoirem, Cézanne'm, Chavannes'em i Da-

gnan-Bouveret'em — nie widzi prawdziwych artystów. „Salony“ doroczne nazywa przedpokojami sztuki. „Czyż jest coś — pyta — bardziej banalnego, jak przedpokój? Wchodzisz, wieszasz kapelusz, stawiasz w kącie łaskę lub parasol. Salon jest tem samym właśnie, tylko niema tu po co wiesząć kapelusza, gdyż w nieobecności geniuszów można chodzić z nakrytą głową, a parasol, trzymany w ręku, zdaje się zabezpieczać od ulewy nudów“. Denerwują go prerafaeliści, drwi bezlitośnie z wszelkich „malarzy duszy“ (*peintres d'âme*); najwięcej zaś krwi psują mu akademicy. „Są to ludzie, tak nieustannie czujący głód szacunku i ułożenia, że kiedy się od nich żąda geniuszu, dzieła, — otwierają przerażone oczy i czerwienią się, jakby powiedziano coś nieprzyzwoitego“. (*Les maîtres modernes*).

IV.

Zarzucono Oktawiuszowi Mirbeau, że rozdrabnia się zawiele, że nie zbiera nawet w oddzielne tomy obfitych pereł stylu i talentu, które rozsiał po dziennikach. Nie uczyni mu przecież podobnego zarzutu, kto obejmie całokształt burzliwej, tłumnej jego natury. Nie zajmował się Mirbeau pisaniem jak rzemieślnik, nie pozował na „neo-realistę“, za jakiego poczytują go naklejaczce etykietek. Ma duszę po nad miarę powszedniego życia rozpotężnioną, więc gdy pragnie powiązać wrażenia łańcuchem artyzmu, piękne ogniwa rozrywają się, pryskają w ogniu społecznym.

Przyjaciele, smakujący w jego wybornych dyalogach, namawiali go często do twórczości dramatycznej. Rezultatem tej namowy były dwie sztuki: „Epidemia“ i „Źli pasterze“.

W pierwszej (wystawionej przez Antoine'a) spróbował Mirbeau przedsięwzięcia niebezpiecznego i trudnego scenicznie: w przesadnej, olbrzymiej ironii, doprowadzonej do najgrubszych efektów sarkazmu, pragnął oderwać postacie od rzeczywistości, zapominając, że aktor nie jest manekinem, a dekoracja nie straci realnego znaczenia. Jesteśmy na posiedzeniu rady miejskiej. Doniesiono władzom, że w koszarach wybuchła epidemia tyfusowa. Prefekt żąda energicznych środków dla powstrzymania klęski, ale panowie radcy obojętnie przyjmują złowrogą wiadomość. Niektórzy nawet pomrukują, że żołnierze po to właśnie istnieją, aby umierali mężnie. Bo czyż mogą, w czasie pokoju, znaleźć lepszą szkołę bohaterstwa, niż odważne poddanie się rezultatom zarazy? Rada odmawia uchwalenia nadzwyczajnego budżetu, ma bowiem ważniejsze wydatki na uwadze: ozdobić należy ratusz, przebudować teatr... Nagle burmistrz oznajmia straszną nowinę: epidemia dotknęła jednego z mieszczan i o śmierć go przypawiła. Panowie radcy tracą oddech z przerażenia. Każdy po kolei żegna nieboszczyka uroczystym wykazem jego cnót i rada rozcho-

dzi się, uchwaliwszy sto milionów kredytu tymczasowego na zwalczanie epidemii.

Wszystkie zasadnicze cechy talentu autora znalazły tu doskonałe pole popisu, ale sztuka nie osiągnęła właściwego celu: pomimo realistycznych szczegółów nie jest komedią, ale grzmiącą szyderstwem i gniewem satyrą książkowego pokroju.

Inną miarę stosować musimy wobec „Złych pasterzy“. Oczarowana treścią dramatu Sara Bernhardt, podjęła się po raz pierwszy w życiu roli robotnicy. Wystawiła sztukę w swym teatrze, z nieznaną w Paryżu starannością. Od ludności fabrycznej w północnych okręgach Francji zakupiono kilkaset autentycznych kostiumów robotniczych; najdokładniej odtworzono wnętrza izb, a w tle dekoracyjnym pokazano fabrykę, fabrykę w ruchu zewnętrznym: uwijanie się robotników, świst i buchanie pary. Sztuka była wypadkiem sezonu. I oto dumny Mirbeau stał się na jakiś czas „illustre écrivain“, uledek musiał tej samej chińszczyźnie wielkowiejskiej, którą zawsze deptał bez miłosierdzia. Wszedł pomiędzy bandę literacko-krytyczną, która go popychała łokciem, klepała po ramieniu, lub tryumfująco maltretowała. Przyjmował fałszywe uwielbienia, judaszowe pocałunki, zawistne szykany. Chmara reporterów wpadła do jego życia prywatnego, przetrząsnęła je całe i rozebrała do naga autora sensacyjnej sztuki. Podobne postępowanie poprzedza w Paryżu każdą „wielką premierę“.

Rozumiałem podczas grzmienia tych hałaśliwych fanfar, że wielka artystka ocali dramat wspaniałą grą; ale miałem niejake obawy, czy „zli pasterze“ nie zawiodą Mirbeau zadaleko w las i nie rzucają go na pastwę wilków krytycznych. Artysta podobnym jest zawsze do płonącej pochodni, w której społeczne uniesienie jest płomieniem, a oliwą — talent artystyczny; kiedy płomień rozszerza się nadmiernie, oliwa wyczerpuje się przed czasem. Gdy się wykształca nowa tęcza ludzkości, prawdziwy artysta dostrzeże ją wcześniej, odczuje nieraz goręcej, niż działacz polityczny, ale materiał czerpać musi w kryształowej prawdzie artystycznego ideału. Nie będzie się zastanawiał, o ile jego symbole, jego marzenia, jego obrazy mogą się wplątać w te dzisiejsze przyczyny, które dojrzeją w jutrzejszych skutkach. Pamflety obyczajowe, pomieszczane w czasopismach, wywołują w czytelniku wzruszenia ukryte, poufne, nie objawiane publiczności. Gdy w złośliwej uwadze odnajdziemy siebie, wówczas conajwyżej dziennik rzucimy, obruszymy się na autora i sprawa nie wyjdzie z naszego pokoju. Inaczej rzecz się układa w teatrze: jeżeli autor ze sceny wymierza policzki słuchaczom, to ci, rzecz prosta, będą reagowali i sztukę

potępią. Na pierwszym przedstawieniu „Złych pasterzy“ dwa odbywały się dramaty: jeden na scenie, drugi w krzesłach. Pierwszy przepojony był łzami, co pryskały, jak pociski wybuchowe; drugi objawił się w świstaniach i wrzaskach dołu i łóż, a w entuzjastycznych okrzykach galeryi. Burzę uśmierzyła krytyka, która z wyjątkiem Sarcey'a i Fagueta, jako obrońców „rozpusty zdrowego sensu“, przyjęła sztukę bardzo przychylnie. Posuwano się nawet do oświadczeń, że „dramat Oktawiusza Mirbeau zasługuje na miano arcydzieła“, że jest utworem, który „zanieśie do wszystkich narodów Europy wieść, iż geniusz tragiczny Francji nie umarł“. (C. Mendès).

Ale „Żli pasterze“ pozostaną raczej wspaniałem rozwinięciem położenia ogólnego, potężnym wyłożeniem znanego faktu, niż pierwszorzędnym dramatem. I w tem dziele swoim i we wszystkich innych, które z pod pióra jego wyszły, sprawia na mnie Mirbeau wrażenie kogoś, co stanął nad brzegiem burzliwej rzeki i nie szuka brodu, ale wskakuje z frenetycznym korzykiem w fale, niebaczny, że utonąć może

Jan Lorentowicz.



Dwie sylwety.

Jeszcze słowo o Rictusie.

Ut Jesus te visitet..

Thomae a Kempis „Sermo XIII ad novitios“.

Rictus jest poetą okrutnym. Pisze urywanym, niespokojnym, drażniącym nerwy wierszem; używa jaskrawego żargonu przedmieść, tak zw. *argot*. Ten *sui generis* język obfituje w masę tragicznych, rozdzierających wyrazów, które, jak określa Rictus, „przewracają w człowieku kiszki“. Z lubością kata, przygotowującego narzędzia tortur, poeta wybiera najboleśniejże słowa, uparcie kombinuje najgorsze zgrzyty. Tu mowa okrywa wybuch płaczu, tam atak epileptyczny, zemdenie, agonia... Waryaci bełkocą, głodni wyją jak psy, chorzy halucynują, krzyk, jęk, łzy i krew... Jest to coś nie do zniesienia, chłodny pot występuje na skroń, braknie tchu. Jak natchniony mściciel, poeta bicuje ludzi, mści się za całe nędzne, skurczone nieszczęściem bractwo ludzkie, i straszna to zemsta. Czytanie Rictus'a — to męczarnia, ciężka droga i święta: *via crucis*.

Najwyższego, kulminacyjnego punktu swej twórczości sięga Rictus w *Soliloques du pauvre*.

Krwia i łzami ocieka ta straszna, potężna książka. Jest to przerażające głębią i ogromem panorama bezdomności, rzecz całkiem nowa, niebywała.

Sentymentalne epizody z życia biedoty, tragiczne obrazy nędzy i brudu przedmieść, melancholijna *chanson* uliczna, opiewająca smutek egzystencyi bez dachu i chleba — to wszystko było. Nie było rozpaczliwego krzyku bólu i męki, krzyku głodnego ciała i tęsknego ducha, jednego, krwawego, od którego kamienie drżą a serce w człowieku pęka, — krzyku ogromnego, który czarnym wyrzutem przegrzmiałby Ziemi i Niebu i wstrząsnął światem.

Takim krzykiem jest książka Rictus'a *È opera terribilissima*.

Tu nie ma już oddzielnych osób, indywidualnego cierpienia. Jest jeden blady, zjadany chorobą i nędzą — zmarnowaniec.

W czarnym surducie i wysokim kapeluszu ¹⁾, ten długi komiczny pan z dziwnym wzrokiem i dziurawymi łokciami, stoi jak upiór na wszystkich rogach ulic, na rozstaju wszystkich dróg; stoi pod niebem, na ziemi i trzysta wiatrów smaga jego brodę a czarny, stalowy deszcz krwawi mu oczy. Stoi i wyje.

To wyje parya indyjski i hebrajczyk w Egipcie, helota ze Sparty i rzymski proletaryusz, średniowieczny Jacques Bonhomme i dzisiejszy *outcast*. To wyje cała chora, nędzna i samotna ludzkość.

Le pauvre jest symbolem ludzkości.

Straszne są przygody Biedaka. Pędzi go zaniepokojony groźną postacią tłusty mieszczuch, pędzi stróż nocny, pędzi wichur i deszcz i jakaś siła niewidzialna pcha go wciąż, bez litości, pcha od początku świata, od kiedy Jehowa zaczął ludzi przeklinać i Zeus zbierać chmury. Więc idzie czarna postać Biedaka, bez końca, bez wypocznienia, bo mu, jak Ahaswerowi, powiedziano: „Pójdź, idź!” Biedak idzie, tysiące domów mija, a żaden nie jest jego domem. A ogromne, chłodne, wrogie są cudze domy. Nikt go tam nie zawoła, nie ogrzeje i, wbrew powiedzeniu, gdy zapuka, nikt nie otworzy. Na ścianach wypisane: *Egalité, Fraternité...* Dziką ironią rozbrzmiewa śmiech włóczęgi, idzie dalej biedak. Idzie, marzy... Marzy o swoim domu, swoim i wszystkich zarazem. Dom to:

Pour les vaincus... les écrasés
Les sans — espoir... les sans — baisers...

.....

..... *ma Mason,*
Ça s'rait un dortoir pour broyés

¹⁾ Takim rysuje go w swych genialnych ilustracjach do dzieła Rictus'a — malarz Steinlen.

*Ousqu'on viendrait se fair' choyer
Un peu avant sa crevaision.*

W tym domu już projektuje z naiwnością dziecka dużo jadła, łóżka z miękkimi poduszkami, czystą bielizną i

Pour compléter l'illusion,

jakaś kobietę, jakąś Matkę, Piękną, Dobrą, Świętą, Matkę wszystkich, żeby wszyscy nieszczęśliwi, złamani, mogli tu, nakarmieni i ogrzani, zasnąć, jak małe dzieci.

Le bout d'un téton dans les dents...

Drga tu już dominująca w poezji Rictusa struna: wizya Matki.

Życie Biedaka to jedno pasmo mąk i wielki strach. Ale z mąk najczarniejszą, najokrutniejszym bólem — wieczne sieroctwo: syn bez matki, człowiek bez Boga.

I dojrzały mąż i mądry starzec są dziećmi.

Starą tragedią ludzkości — paląca potrzeba miękkiej dłoni, dobrego słowa, pieczyoty; dwie ręce w spazmie wyciągnięte w przestrzeń bez echa, wieczne szukanie Matki.

Tłucze się po świecie Biedak-sierota, jedna myśl dręczy go, jego tęsknota wylewa się w jednym kolosalnym krzyku:

Maman... Maman... Maman...

Cicho. Żadne drzewo nie zadrgało, ziemia nie wydała jednego dźwięku. Biedak podnosi oczy. Naraz staje się coś okropnego, niepojętego. Wściekłe gromy potoczyły się z łoskotem, ogromny huk nappełnił powietrze i przy namiętne biciu w kotły — Drżąca w białym płomieniu Jedyna, Boska, zjawia się Matka, Matka nieszczęśliwych, zmiażdżonych zniszczonych,

Notre — Dame — des — Dénolis!

A od Matki droga prosta — do Syna.

Kiedyś, w nocy bardzo biedny, bardzo znużony, *le Pauvre* spotyka Go niespodzianie, na rogu ulicy i wita:

*— Bonsoir.. te v'la? Comment, c'est toi?
Comme on s'rencontr!... n'en v'là d'eun'chance!*

Nakoniec znalazł Biedak Tego, co go wysłucha. Więc wszczyna długą, nieskończoną spowiedź swej cierpiącej duszy, pokazuje rany i opowiada swoją Golgotę, mówi i pyta:

Voyons? Cause un peu? Tu dis rien!...

Ale Bóg milczy i patrzy. Biedak wciąż mówi. Noc już blednie, a skarga jego ran wciąż jęczy ku Bogu.

Już świta. Bóg milczy. Więc woła w trwodze, krzyczy i żąda strasznym głosem:

Eh! fils de Dieu! fais un miracle!

I wciąż ponure milczenie odpowiada mu. Postać Boga blednie i ginie we mgle.

*Et à c'moment-là, le jour vint
Et j'm'aperçus que l'Homme' Divin
C'était moi, que j'm'étais collé
D'avant l' miroitant d'un marchand d'vins!*

W taki straszny sposób nawiedzał Jezus Biedaka.

Ten nadzwyczajny epizod koronuje epopeę *le Pauvre'a*. Złotymi stopniami wchodzi obdarty, czarny jegomość po drabinie Jakóba do nieba, bo tam „jego królestwo“. Ale na ostatnim stopniu, już u szczytu, gdzie jego głowa sięgała lazuru, spada z łoskotem znowu na ziemię, spada. żeby już nie powstać. Zostaje sam, okropnie sam:

*. - l'Homme' Divin
C'était moi...*

A oto dalsze obrazy sieroctwa: książki *Doléance* i *Cantilène du Malheur* są jakby mutoskopem wszystkich okropności chłodu, głodu i tęsknoty — bez przytułku. *Jasante de la Vieille* w zbiorze *Cantilène* może być zaliczona do najpiękniejszych, a w każdym razie najosobliwszych poematów, jakie kiedykolwiek były napisane.

Po cmentarzu dla przestępców w ciemną wilgotną noc błądzi mała, schylona postać kobieca. Staruszka-matka szuka z utęsknieniem grobu swego występnego syna. Jak matka Villon'a, stara jest bardzo, głupia i bez-

radna (*Femme je suis pourette et ancienne—Qui rien ne sçay*). Chodzi bezmyślnie, dziko się ogląda; jej blade, wązkie usta szepczą: «Gdzieżeś ty, gdzie? mój biedny chłopaku, gdzie oni Cię położyli?... gdzie... powiedz... to ja.. ja... twoja stara... powiedz... mów... moje dziecko.

Nie znajdzie stara syna. Miejsce ponure, nigdzie ni krzyża niema, ni kwiatka. Ciemno. Bez ruchu, bez dźwięku śpią krwawe zbrodnicze głowy.

«No niechaj... niechaj... śpij sobie, śpij... śpij, dziecko, jak wtedy... pamiętasz?... w łóżeczku... śpij, nie płacz, mój biedny... bardzo biedny... mały... mój... ma... malutki...¹⁾»

Zapewne ogromny, niezgrabny to był chłop. Blady, straszny poszedł na ścięcie. Głowa mu siedzi głęboko w plecach, w oczach błyski. Ręce jego, ręce dusiciela kurczowo się zaciskają. Nienawiść tłumy prowadzi go pod nóż gilotyny: zabójca!

Ale dla swej starej, dla swojej «wiernej starej» on zawsze niewinny, mały, malutki chłopiec... w łóżeczku... ciało ciała jej, krew jej krwi.

«Pamiętasz, pamiętasz... ja cię karmiłam, pieściłam, chuchałam...» marszczy się w uśmiechu przez łzy twarz staruszki.

«O mój mały, maleńki... mój... ma... malutki...

Ale noc głucha śród cmentarza, darmo błądzi stara...

Za matką bez syna porzucona kochanka — włóczęga bez dachu, głodny bez chleba, chory, cały pokryty ropiącemi ranami, — bezdomny sierota, — cała bezdeń upadku ludzkiego ziele z tych utworów.

Ale upadek to nie nadługo: ziemia wroga i czarna, więc wzrok Biedaka wróci do Nieba i niemasz owcy wierniejszej od niego.

1)

Et où donc? Où c'est qu'on t'as mis?
D'quel côté? Dis-moi... mon ami?

.
C'est ta Vieille... toujours... ta fidèle,
Ta pauv'vieill' loqu'de Vieille vois-tu!

.
. fais dodo... fais dodo,
Comme aut'fois dans ton petit lit,
Tu sais bien... ton petit lit cage...
Chut!... c'est rien qu'ça... pleur'pas... j'te dis
Fais dodo va... sois sage... sage,
Mon pauv'tout nu... mon malheureux
Mon petiot... mon petit petiot.

To niby wiara zachwiana, niby bluźniercza — ale w gruncie rzeczy niewzruszona, z mlekiem matki wyssana — i nieodstępna towarzyszka aż do grobu. Z po za bluźnierstw rzekomych — wyziera jakby blada i boska Matka w *Zdjęciu z krzyża* nieznanego mistrza kolońskiej szkoły; zastygła w ogromnym bólu Madonna Giovanni Bellini'ego; piękna i pokorna Marya u Quentin Metsysa, groźna u Caravaggia i złamana w Böcklinowskiej *Pietà*.

Zawsze Bóg będzie, bo zawsze Nieszczęśliwy będzie: *pauperes semper habetis*. Po przez wieki od czasów Kaina Niedola i Ból ze strasznym zgrzytaniem zębów idą obok Boga. Wraz z Nim królami są nędzni na duchu i na ciele. Krwawiące od pracy ręce, włóczęga w łachmanach, Anachoreta i kochanek, głuptak i trędowaty — to kohorta nie z tego świata. I po przez wieki z czarnej ziemi do Nieba będą wołać polamane kości włóczęgi ogromnem wołaniem:

Oh! mon Dieu, si vous existez...

Zygmunt Macz.



Piotr Louys — Sanguines.

Piotr Louys... Pornograf hellen, zaopiniował ze zwykłą swą błyskotliwością Neuwert-Nowaczyński. Pornograf--twierdzi tout court vox populi, i dzięki tej etykiecie „Aphrodite“ należy do dzieł najbardziej czytanych, no i najmniej rozumianych. O, bo szerokiej publiczności podniesiona kiecka Mouquette'y zawsze zasłaniać będzie społeczne znaczenie *Germinal'a*, a zbyt może wierny opis bachanalii aleksandryjskiej — artystyczne i psychologiczne obrobienie Aphrodite'y. A tymczasem ze wszystkich dzieł Louysa pod rubrykę pornografii da się podciągnąć najwyżej jedna powieść: „Przygody króla Pausola“, choć kto wie, czy o niej myślał autor, gdy ustami Parrhasiosa mówi o „pewnych sprośnych obrazkach, którymi się zabawia mój umysł w godzinach odpoczynku, i które są, wiesz o tem, zgoła nie najmniej szlachetną częścią mego dzieła“.

Hellen, tak, to prawda. Helleńskim jest umiłowanie sztuki Louysa, helleńskim nie rozróżnianie piękna od dobra, helleńską jego czysta zmysłowość, tak różniąca się od zdeprawowanej zmysłowości Des Esseintes-ów, helleńskim pojęcie kobiety, helleńskim wreszcie pesymizm, wynikający z wielkiego umiłowania życia, niemający nic wspólnego z ascetycznym żydowsko-chrześcijańskim pesymizmem. A Grecya jego marzeń to nie Hellada tryumfująca politycznie, nie, to Grecya upadku, Grecya panująca nad światem jeno potęgą geniuszu swego, lub też te nowe, bardziej wyrafinowane w swej rozkoszy Ateny — Aleksandrya, na krótko przed ostatecznym zagarnięciem jej przez wiecznie głodnych barbarzyńców — Rzymian.

I najswobodniej, najchętniej porusza się też Louys między wytworzeniemi postaciami, odzianemi w chitony, rzucające fałdy piękne przy każdym ruchu. Dlatego też rozpatrując najświeższy zbiór nowel Louys'a,

„Sanguines,, nie będziemy się zatrzymywali ani przy niezmiernie oryginalnej „Falszywej Esterze“, ani przy ciekawej psychologicznie „Spowiedzi panny“, ani przy dowcipnej, fantastycznej „Przygodzie pani Esquollier“, ani przy „In Plano“, które zda się całe piękną parafrazą słów mistrza Balzac'a „Żegnaj kobieto, *staniesz się cierpieniem*“, ani nawet przy przesłicznej starogreckiej idylli „Dyalog przy zachodzie słońca“ — lecz zanalizujemy jedynie „Nową rozkosz“ i „Człowieka w purpurze“, gdyż te dwie rzeczy wystarczają, aby dać miarę Louys'a.

W pierwszej z tych nowel autor opisuje rozmowę swą ze zmarłych-wstałą kurtyzaną aleksandryjską Kallisto, córką Lamii. Po śnie wielowiekowym obudziwszy się, marzyła, że zostanie świat doskonalszym, słońce gorętszem, sztukę potężniejszą, ludzi piękniejszymi. Zastała upadek. I oto dowodzi ona Louys'owi, że nic nie posiadamy, czegoby Grecy nie znali, że kultura od upadku Aleksandryi ani jednego kroku naprzód nie uczyniła. Bo tylko o nowe piękno dba Kallisto — piękno mózgu: nową twórczą myśl, piękno dzieł ludzkich: nową sztukę, piękno życia: nową rozkosz. Tak, nową rozkosz nie zaś nowy dreszcz; to wyrafinowanie dreszczów bólu, rozkosz torturowania samego siebie, jedyna pobudzająca nas, pijanych zapachem kwiatów grzechu, również obcą, niezrozumiałą i niesympatyczną jest dla słonecznej duszy hellena, jak i samo pojęcie grzechu pierwotnego. I z bezlitosnym orężem faktów w rękę, rozbija Kallisto iluzje nasze co do nowych zdobyczy wiedzy, sztuki, umiejętności życia. Wszystkie systematy filozoficzne tkwią w zarodku w myślach filozofów greckich, wszystkie teorie naukowe również. Cóż więc znaczą różne odkrycia i wynalazki, będące jedynie zastosowaniem tych myśli; tembardziej, iż żaden z nich do upiększenia życia się nie przyczynił, a wiele (bawełna, elektryczność) wprost powiększyło sumę brzydoty. I w sztuce niceśmy nie działali: średniowiecze stworzyło tylko barbarzyńskie budynki, które jednakowoż na szczęście już się zamieniają w ruiny; sztuka zaś współczesna, miasto tworzyć nowe formy, do Grecyi się zwróciła po natchnienie. „Jedna kolumna, znaleziona w Sycylii, splotła dwa tysiące kościołów i tyleż dworców kolejowych“, mówi z pogardą Kallisto. W sztuce zaś życia cofnęliśmy się, szczęścia znajdować już nie umiemy, rozkoszy nowych nie zdobyliśmy, zapomnieliśmy o starych. A w odpowiedzi na całą tę gorzką krytykę czasów dzisiejszych, zdobywa się Louys jeno na pokorne tłumaczenie, że po upadku Aleksandryi zjawiła się nowa religia, religia mroku, i jak ciężka zmora legła na piersi ludzkości, że od niedawna dopiero zaczynamy się wyswobadzać z pod jej wpływu, że dzieła zniszczenia, rozpoczętego przez judejską religię, dokonała inwazyja barba-

rzyńców; że nieliczne ocalałe dzieła mistrzów greckich, z mozołem odczytywane przez wiek cały, od trzechset lat zaledwie zaczęły wsiąkać w nas i nie zdążyły jeszcze stać się krwią krwi naszej i kością kości naszej, że my, współcześni, nie jesteśmy więc bogatymi spadkobiercami wielkiej fortuny, którąśmy zmarnowali, zamiast ją powiększyć, lecz ubogimi krewniakami, zbierającymi okruchy spadłe z biesiadnego stołu.

Piękna szuka Kallisto, o piękno też, a właściwie o realizację jego — sztukę, idzie w „Człowieku w purpurze“. Działo się to wtedy, gdy ciężka noga Filipa Macedońskiego przygniotła Grecyę i podkopała był jej polityczny. Mistrz ateński, Parrhasios, szukając modelu do swego obrazu „Prometeusz spętany“, znalazł go między wziętymi do niewoli przez macedończyków olimpijczykami, sprzymierzeńcami Aten. Rozkazał przywiązać do skały dumnego niewolnika, i aby wydobyć z duszy jego krzyk bólu, ryjącego swe piętno na twarzy ludzkiej, jak na miękim wosku, nakazał, by ciało i wnętrze modelu, jak sęp okrutny, żarło do białości rozpalone żelazo. Niewolnik skonał z bólu, lecz dzieło zostało spełnione. A gdy lud ateński, dowiedziawszy się o męce i katuszy sprzymierzeńca, jako morze wzburzone, żądające z rykiem ofiary, zgromadził się przed drzwiami Parrhasiosa, chcąc rozszarpać zuchwalca, depcęcego najświętsze prawa, prawa sprzymierzeństwa, wystarczyło mistrzowi pokazać swój obraz, by tłum umilkł i przebaczył artyście. „Człowiek w purpurze“ — najpełniejszy akord wzięty tu Louys i zaiste purpurą się mieni cała ta nowela. Jeśli mogły kiedykolwiek powstać wątpliwości co do głębokości i szczerości talentu Louysa, to muszą one umilknąć wobec tego dzieła. A jeśli faryzejska etyka niektórych oburza się na „niemoralność“ utworów francuzkiego autora, to pamiętajmy, że stoi przed nami nie człowiek z wieku parasoli, kaloszy, „armii zbawienia“ i magdalenek, lecz hellen otwarcie wyznający, że zaiste „może być i dobrem a nawet wielkiem, by artysta odważył się i potrafił wznieść się, nie ponad króla jakiegoś, którego armia przechodzi wzdłuż jego murów, lecz ponad prawa ludzkie i ponad prawa boskie, — wtedy jego muzy rozkażą mu podeptać nogami wszystko, co nie jest niemi“.

Agni.



Noc rabinowa.

V.

Olbrzymie dęby niepołomy, rozdarte piorunami, wydęte w przepukliny i jaskinie. Toczy się wir czarnych leśnych wód, nad nim rosiczka jak misa krwawa o kurczowo poruszających się palcach. — Xiąże-Widmo stoi na trzęsącej się kępinie wśród bezdennych przepaści błot. — W mroku jarzą upiornie okna kniaziowskiego zamku.

XIĄŻE.

Korzenie nurzają się w piekle.
Stąd ich zasucha — liście żółkły.
Już lecą. Wiatr miota.
Na tych liściach w mroku nogi trupa.
Czują ich zimno.
Wzrok zezawy po ziemi ciągnie.
Znalazł klucz i otworzył bramę.
Złodziej — — nie! śmiało kroczy —
już jest w sali i w niej się rozgląda.
Skoro świt krwawy — — co ja mówię —
ja w pojedynkach tyłu — oto gnę się —
portrety zdejmą ze ścian —
o szarym brzasku przy kagankach —
i twarze groźne hetmanów
będą się jarzyć. I kasztelanki
z różami za gorsem — zbudzone —

będą się uśmiechać do świeczek upiora.
 Bóg mego nie zbudował domu,
 i błotny odmęt
 wyżera jego krwawe podwaliny.
 Brama otwarta, kto śmiał wejść?
 Stróże! psy spuścić z łańcucha—
 zaszczuć go psami—zedrzyć maskę—

(Światła zamku stają się fosforycznie płonącymi oczyma sów — drzewa skrzypią, wstrząsając ramionami, i sypią zwiędłe liście jak przekleństwa).

KRÓLE DĘBY.

Tej nocy
 Psy wyją na Ciebie, wężąc trupa.
 Z karocy
 twojej krew po kole chlupa.
 Bezsilny
 zejdziesz w ciemną krainę mgieł śmierci.
 Pomnij: wchód do zamku tylny—
 tam, kto ścianę przewierci
 znajdzie skarby krzyżaków—
 —szelest słyszę robaków—
 na brzozie czarna dyablica się huśta.

SOWY.

Brama wyjęta z zawiasów—
 taki gmach—nie podjąłby go tabun ludzi—
 to była książąt brama tryumfalna.

(przyglądają się w mroku cyrografowi rabina, co błyszczy krwawym pismem na bramie wjazdowej).

Żydowskie pismo—pieczęć trupiej czaszki.
 Rabin to pisał—proroctwo bezdroży.

KRÓLE DĘBY.

Erom—jak krwawy palec boży.
 Nad tym zamkiem pisał Mene—
 Mene—Thekel—Upharisim.

KOPYTNIK.

Nad bagnami wszyscy wisim.

ROSICZKA.

Wszyscy żyjem za krwi cenę.

KLON KARMAZYN.

Ta galerya wojewodów,
kasztelanów i hrabianek
z najświetniejszych Polski rodów —
nawet te krzyżowe stacye —
nim zaświta krwawy ranek,
tu zajedzie sto furmanek,
rude czarty — Mardocheje —
na londyńskie licytacye
będą wieźć —

PUHACZ *(śmiejąc się straszliwie)*.

Hamana dzieje.

SĘDZIWIY GRAB.

Byłem za młodu w Italii —
Widziałem Dorie — Borghezy
i te hiszpańskie kortezy —
lecz my gorsi miserable!
Dziś nie hełmy, dziś nie szable —
słońca zodyak lśni kanalii —
do umarłych trza nam iść.
Wiatr nas sypie, zwiędły liść!

(Xiężyc leje swe promienie przez zielonawą kaskadę olbrzymiej wierzby, co jest Nicią tych wód).

WIERZBA.

Był święty Jędrzej Bobola —
i tu leży pochowany —
i te zakrwawią się pola
w ostatniej bitwie —

(na krwawej misie rosiczki błyska nagle ponura ścięta głowa szatana).

SZATAN.

Łachmany!

w tem mojem piekle lodowem,
dźwigając skałę rozpaczy —
kto wyjrzy z niego — zobaczy
kościoly gnijące nad rowem,

nad ciemnym dżdżystym moczarem
 zwodnicze nieba tęcze—
 a ja was krwawię—i męcę—
 oplatom gromów węzarem,
 byście byli Laokony—
 a nie kruki, sępy, wrony— —
(Kogut w dali pieje i szatan znika).

XIAŻĘ.

Głos mi oniemiał od grozy—
 w gardle płonęły zimne łyzy.
 Szatan przemawiał z błotnej łoży,
 twarz miał podobną krwawej rdzy.
 Tu idzie kondukt umarły—
 za ogniami czarna matrona,
 za nią młoda w srebrzystych fioletach
 szłocha—i ręce łamie. I rozdarły
 się szaty i jest obnażona.
 Kawaler modny—w sajetach
 zarąbał mieczem tę czarną
 i z wyciem zeszedł w głąb studni bezwodnej.
 Senatorowie idą i ciągną ich wozy:
 zapłakane oczy, wyschłe jagody—
 spieczone usta, spalony język. Brody
 okryte gęstym robakiem,
 podziurawione czaszki, skąd wypada ogień *)
 i skrępowane grubymi powrozy.
 Słyszę okropną piosenkę,
 przy jej dźwiękach schodzą w ten wir,
 gdzie się miazdzą dusze—i Bóg się ich wyparł.
 Mgła zionie, jak z serca Meduzy.
 Idzie tu staruszek bezzębny i ślepy.
(Spostrzega widmo rabina).
 Zły jesteś, starcze,
 w trzęsącej się kępinie
 niema już miejsca dla nas obu,
 a Ty chcesz się pomieścić z tym psem,

*) Strachy na zamku Trockim z w. XVII.

co ma oczy obłąkanego Tassa.
 Pies ten mnie węszy i wyje.
 Nad tobą wrony kraczą,
 a mrówki zakrywają ślady Twych stóp.
 Kosturem trącasz
 w ten zimny bulgot—mnie—
 liłości—widzę gwiazdę magów—
 płonie kwiat paproci—
 będę zbierał na drogach pył, aż usypię góry
 i spojrzę w niebo i łzami zapłacę.

(Rabin-widmo porusza bezzębnymi szczękami, mruga oczyma—chce coś powiedzieć i tylko głuchy wydobywa mu się jęk. Ręka szatana wciąga go nazad w trzęsawę).

XIAŻE.

Brzęczą pszczoły zielone *)
 w żywym tysiącletnim drzewie
 i do słońca się rwą przebudzone—
 i słońce mi niosą w swym śpiewie.
(Pszczoły wchodzą z Królową matką swą).

PSZCZOŁY.

Słyszeliśmy jęk przerażający—
 ten, co zaprzedał puszcze!
 I wytępią stare odwieczne święte barcie—
 zapuścimy mu żądła jadem zbrojne—
 sześćdziesiąt tysięcy poczuje sztyletów—
 jakże niewinną jest żoła, co nas wyjada długim
 językiem—i niedźwiedź łakomy, co
 łapą zagarnia złoty łup—i ta ćma
 udająca głos królowej, aby bezkarnie
 wejść do ula—
 po tysiąc razy podlejszy jest zły człowiek.

KRÓLOWA.

Wylecimy skoro świt na nowe
 roje—w tym dniu nie mają żądła
 nasze trucizny. Obstąpmy go złotym
 wieńcem i będziemy mu snuli pra-
 wieczną mądrość borów.

*) Te, których ul jest wyrąbany w sośnie.

PSZCZOŁY.

Niech dusza jego przejdzie w trutnia.

KRÓLOWA.

Me serce dzisiaj brzmi jak lutnia.

PSZCZOŁY.

Jest prawo srogie leśnej barci —

XIAŻĘ.

Serce mię w piersiach srożej karci —

PSZCZOŁY.

Jabłoń odarłeś z żywej kory —

XIAŻĘ.

Tak, jabłoń życia, tępiąc bory.

KRÓLOWA.

Słowa straszego rzec się boję.

XIAŻĘ.

Jelitem mojem ranę zgoję —

Przybiję się do drzewa nożem

i mym jelitem pień okręcę

i będę krwią go rosił w męce,

aż wyda kwiaty śnieżno-krwawe.

I pszczelne będą latać roje,

woskiem się czarny grób rozjarzy —

(Mgły jeziorne go zakrywają — w dali gra hejnał — słychać szcęk broni — hufiec witezów przemiga, ścigając upiory. — Wchodzą boginki, witezie i kapłani z ogniem ukrytym w runicznych krywulach).

HEJNAŁ.

Graj moja duszo Panu, graj —

ojczyznę Twoją niebiosą —

dokoła puszcza — ciemny gaj —

najświętsza z Dziew złotowłosa.

U nóg Jej światów brylanty,

w pasie Jej miesiąc przejrzysty,

po bagnach wyją poświsty,

szatańskie nuca kuranty.

WITEŻ.

Słuchajcie, jak dziką pieśń roskoszy nucą w Grodzie Hapuna.

(Stare ohydne karty wyją dźwiękiem chrapliwych trąb z czeluści wiru).

KARŁY.

Kąsając twoje piersi nurzam się w krwi,
na wodach śmierci czarne drżą łodzie,
palą się gwiazdy pod łukiem Twych brwi,
jak niewolnice zamrożone w lodzie.

GŁOS PEŁEN ECHA.

Synu mój, synu — nie wypieraj się trzewi tego bagna, które Cię zrodziło.

WITEŻ II.

To głos matki naszego Wodza — zapatrzył się On w czarną głębinę,
w zbroi Jego odbijają się gwiazdy, jakby wołały toń Jego piersi od morza.

BOGINKA LILIA WODNA.

Jeziora błękitnieją, ach! rój motyli lata w szale miłosnym, w omdle-
niu spadają jak gęsty śnieg na ciepłe ogrzane wody.

WITEŻ.

Kazał nam wyostrzyć miecze z sopli lodowych, które są w grotach
zamarzłego oceanu, i rozświetlić tarcze księżyców — abyśmy byli gotowi
do krwawego zarania.

Lecz oto pograżam się w nieskończonym poemacie Summy życia
i czuję, że tam za tymi skłębionymi oparami, w tych zamtuzach i jatkach
ludzkiego mięsa, przebywają nasi pokrewni, którym będę mieczem wy-
rzeźbiał skrzydła i nurzał w jeziora płomieniejących kraterów.

WITEŻ II.

Wódz nasz z Bogiem rozmawia, zawierzę Mu i będę czynił jak On.

KAPŁAN.

Święte ogrodzenie tej puszczy obległ jadowity wąż — z tchnień jego
rodzą się kobiety oplątujące węzowym uściskiem, który zmienia bohate-
ra w stworzenie ryjące pod dębami.

Z jego ślepi sypią się zaraźliwe chmury oblędu.

Powietrze balsamiczne stało się ciężkie od zatęchłej krwi; idąc przez
kładkę ludzkich ciał, z grozą usłyszysz jęk zatopionego anioła.

KAPŁAN II.

Fałszywi Mesyasze, politycy bez czoła, wieszczce bez sumienia, i ca-

łe hordy półludzi, z jedną ręką i jedną nogą i połową twarzy zwierzęcej.

WITEŻ II.

Tymczasem idźmy spełniać czyn miłosierdzia dla tej ziemi, zadając potworom śmierć.

(Witezie odchodzą, kapłani palą bursztyny przy Świętym Dębie. — Z klębiących się mgieł wychodzi Hanna i wódz).

HANNA.

Wicher swem wyciem poszarpał ciche melodye mej duszy. Mroźno mi — weź węgle i połóż mi tu, o! czemu świat staje się taki zimny? czy jest Bóg — i Ty nie wiesz?

Twój kwiat paproci zczerniał, odbijając się w jeziorach zasłanych białym śniegiem jacy — którą rybacy zbierają w wory, a ona wciąż leci miryadami na ich krwawiące pochodnie. Ta noc musiała oszaleć od łez i od szczęścia.

Kwiaty drzew owocowych, zawiązujące się zboża nic że Ci nie mówią? słowiki, które omdlewają od rozkoszy, tysięczne szmery niewiadomych uciech? Ach, tym rytmem szalonej melody zapala się nowe życie, którego daremno szukasz w jakichś okropnych głębinach.

W ciągłym myśleniu duszy ciało Twoje rozpięte między górami Kaukazu, których szczyty są niedosiężne.

Nie dotknąłeś mnie jeszcze ustami, i jak mleko uderza czasami do głowy matkom, które nie karmią.

WÓDZ.

Więc co?

HANNA.

Umysł mój się wstrząsa od Twoich wizyj, które nie mają urzeczywistnienia.

WÓDZ.

Tworzą najgłębszą rzeczywistość, która tak się pogrąży w otchłań wiekuistej prawdy, że już Tve oczy nie widzą nic ponad mgły.

HANNA.

Powietrze jest przesycone dźwiękami miłosnych harf. Krew moja bije jak gorące źródło pod kamienną nawłoką Twojej dumy. Ja cię ogrzeję — ty marzniesz od mrozu międzyplanetarnego w tej sypialni wieczności.

WÓDZ.

Hanno, oto mąż twój, którego szukasz.

(Przez rozchylony welon mgły widać nad jeziorem Xięciu, który oplótł drzewo swem ciałem, a skrzydła jego szare, nikłe, nurzają się w krwawej kałuży. — Hanna w najwyższym zdumieniu i trwodze czuje, jak się coś łamie w jej piersiach — blade Martwice omdloną wiodą do łodzi w kształt liścia klonu).

Martwe nóżki same wiodą
po murawie, gdzie lśnią lzy —
nad bagnistą czarną wodą
płynę ja i płyniesz ty.

Zerwij róże, czarne róże
i cierniowy zwij mi wian —
serce moje w krwi zanurzę
i w weselny pójdę tan.

Martwe nóżki same wiodą
tam, gdzie lśni paproci kwiat,
nad moczarów ciemną wodą
strzeże skarbów zbrojny gad.

Dusza wieszczka, niezgłębiona
i gwiazdzista, jak ta noc —
w błyskawicach śni i kona,
aż słoneczna błysnie Moc.

Martwe nóżki same wiodą
nad tęczową bagien toń,
pod zwaloną dębą kłodą
trupich główek stęchła woń.

Bagien światła, borów mroki,
już piekielny błysnął gmach —
na powietrzu lecą smoki,
dusza tonie w słodkich łzach.

WÓDZ.

Cisza mroczna i przeraźliwa, jak otchłań w umarłej piersi.
Gwiazdy blade, spokojne.

One są inne, niż ja. One są prawdą.

Jam kryształ popękany, który nie może skupić wszystkich promieni w jedno ognisko Boga-człowieka.

(Szatan w postaci mgły podkrada się).

SZATAN.

Weź cały ten kraj za tron dla Twojej dumy. Szatanem bądź. W zamku gwiaździstym panuj z nierządnicą.

Rozpalaj góry lawą, zamrażaj ocean, z powietrza majowego wij cyklony.

Ach, wirem strasznym idź—kurzawą zmarłych gwiazd—potysiąckrotnie siebie w otchłań wgnieć—i znów nad gwiazdy leć.

Nienawidź—nienawidź—nienawidź!

(Wódz nakłada na łuk strzałę płonąca kwiatem paproci i rzuca ją na przepaści błot).

WÓDZ.

O gwiazdy, waszym świętym imionom poddaję wszystkie królestwa, które zdobędę błyskiem tego kwiecica. O serce!

GŁOS TAJEMNY.

Jestem Ci posłuszne.

Jestem święte, wieszczce i bohaterskie w swych głębinach. Jestem Prawda.

(Wchodzi Hapun przebrany za Xiędza, z zawiązanymi oczyma, wprowadzają go witezie i zostawiają samego z wodzem).

WÓDZ *(sposzrzętszy Xiędza).*

Zdaje się, że nie trafiłeś na górę Tabor?

XIĄDZ.

Mówisz o przeznaczeniu—tak jest—skończył się dla mnie Chrystus ukrzyżowany—rozpoczęła się epoka spokojnych godów. Przy każdej chacie, gdzie stał symbol męki, postawiłem obraz rządzącego rozsądku, a na każdym wzgórzku kapliczkę mądrej wyrozumiałości dla siebie.

Jestto, że tak powiem, kościół historycznie skorygowany. Ewangelia była żywym, krwawiącym się ciałem, my ją odzialismy w skórę koniecznych względów.

WÓDZ.

Zanadto grubą, mości panie.

XIĄDZ.

W wybujałej fantazyi zrodziłeś Hapuna. Niema go, gdyby był—sprzeciwiałby się rząd jego rządów Opatrzności. Hapuna niema—stukaj, krzycz, strzelaj—nie odezwie się—argumentum ab silentio. Zato jest instynkt w każdym z nas, który każe czcić środowisko. Komar nim dostanie skrzydeł, musi żyć długo w kałuży. A przeto ona dla niego staje się górnym i czystym eterem. Zresztą unikajmy pojęć ostrych.

WÓDZ.

Dziwnym i tajemniczym cudem znalazłem duszę. Chcę ją wprowadzić na góry pnące się do życia wniebowziętego.

XIĄDZ.

To jest myśl wzniosła, ale ją poddaj krytyce, która odpowiednio przesiewa światło od ciemności.

Daj się wieść. Nie podejrzewaj dobrych intencji nawet Hapuna. Nie obrażaj go daremno—nazwij go lepiej tym, który był i który potrwa.

WÓDZ.

Więc nawróciłeś się na wiarę w nieśmiertelność?

XIĄDZ.

Skoro dyabły wpędzone w Martwe morze duszy żyją aż dotąd —

WÓDZ.

— tuczając się pozorami

XIĄDZ.

Wiara zasię przenosi góry nie a jest warta kropli zdrowego pozoru, który żłobi skałę.

WÓDZ.

Zaiste, wyżłobiłeś skałę, na której opierał się boski kościół twego powołania.

Odstąp, abyś mi nie odbierał boskich promieni tej nocy.

XIĄDZ.

Jestem dostojnikiem instytucji, która ma władzę otwierać i zamykać wasze oczy.

WÓDZ.

Lecz jeśli poprzez muł ktoś ujrzy gwiazdy i w odrobinie piasku usłyszy ocean?

XIĄDZ.

Słyszeliśmy o twych własnościach i Hapun, chcę mówić, ten, który jest, kazał ci ofiarować urząd nadwornego maga. Gdy mu się urodzi syn z baletnicy, (widzisz—ona dawniej też bujała po niebie)—ty pójdiesz przed lud z noworodkiem — i powiesz: oto jest rószcza przymierza między wami i Bogiem.

WÓDZ.

Język mój nigdy nie będzie ogonem skorpiona.

XIĄDZ.

Wyklinam cię — w imię tej potęgi, co umiała na pustyniach postawić urzędy swoje i na wyspach, gdzie żyją tylko pingwiny — zakłada arcybractwa dobrej śmierci.

WÓDZ.

Płynąc po czarnym, wzdętym, wyjąłym oceanie tajemnic — na moim okręcie nieśmiertelnym — z zygzakami elektryczności na maszcie — każę te pingwiny nałapać dla twojej owczarni.

XIĄDZ.

Znam twoje rany — twoją piętę Achillesa, strzeż się!

WÓDZ.

Znasz tylko piętę Achillesa!

XIĄDZ.

Matką twoją jest ta przepaść błotna, ojcem twoim jest błądzący tułacz kometa.

WÓDZ.

Co? więc bratem Płanetnicy —

XIĄDZ.

Kochanką twoją jest idea mistyczna i niebezpieczna, lecz zaprawdę, powiadam Ci, wszyscy jesteście posągami z krwi i błota, i nie udźwigniemy słońca.

WÓDZ (do witeziów).

Wyprowadzić go, nie zamykając mu oczu, ślepy jest.
(*Do siebie*) Ten strażnik pobielanych grobów wyrzekł mi doniosłą prawdę. O siostrzo moja, o piękności — muszę śpieszyć na wyzwolenie twoje.

WITEŻ.

Wodzu, zwyczajem leśnym możnaby Hapuna dom przyprzeć drągami i podpalić, tak zginie czerw toczący duszę.

WÓDZ.

Na łodziach płyńcie, aż do ujścia rzek — nad morzem pod górą Biruty czekam was — zapalicie żagwie i światłami witać będziecie Prajuritę. Kapłani niech plotą wieńce z ostatnich kwiatów umierającej ziemi. Gdzie Arjaman?

KAPŁAN.

Prowadzi żubry. Słyszę dźwięk jego rogu, przyzwałeś go kwiatem paproci.

(W dali rozbrzmiewa starodawna trąba litewska Sutartiniema, donośna i harmonijna, co grała w święta wieczorem wśród puszczy. — Drżą dęby, jawory, klony, jodły i buki, jakby pod ziemią tętniły wozypiorunowe. Tysiączne odbijają się echa, aż muzyka staje się rozmodlonym dzwonem tych królestw sennych. Z gęstwiny wynurzają się czarne potworne łby żubrów, w mroku wzdętych kudłów jarzą się ślepią, a rogi hebanowe osrebrzone rosą, pochylone nisko, jakby chciały bóg ziemię. I jak burza wstrzymana stanęły na głos olbrzymia, co szedł za nimi, grając w trąbę z wydrążonego drzewa, pokrytą runami, ogromną na wzrost swój. Zbudowany jak posąg, nagi, z lwią grzywą długich włosów — twarz jego przeświecona wieczną młodością).

WITEZIE.

To Arjaman — syn słońca.

WÓDZ.

Tyś jest bóg Arjaman?

ARJAMAN.

Jestem bóg zaiste, człowiek dobry.

WÓDZ.

Żyjesz na górze wśród mędrców, stada żubrów pasą się w kwietnych dolinach i wracają nocą do własnych kamiennych domostw. Góra wasza nie ma dostępu, okryta pierścieniem mgieł nieprzebytych.

ARJAMAN.

W drzewach tych krąży nasza krew, w żubrach tych żyją duchy naszych przodków.

(Naciska drzewo—i z pod jego palców ono bluzga krwią).

W grotach naszych są sigillarye i drzewa paproci, smoki skrzydlate czepiają się pazurami gigantycznych wrzosów, co śnieżą się białymi kielichami kwiecia. I ty niegdyś żyłeś z nami. A potem—widziałem cię na stepach, gdy leżałeś, król niepogrzebiony, orły klekotaniem swem odstraszały od ciała twego drapieżne hyeny.

Jesteś dawny—i powracasz.

WÓDZ.

Ha, nieśmiertelny jestem — z kłębami wyjących harpij na dnie mojej duszy? o Arjamanie, Arjamanie—święty i boski—jak okropnych siedem ran gwiazdzistych zadałeś mi tym jasnowidzeniem!

Wydarłeś snowi memu jego słodycz i została mi się w rękę jego groza.

Śmierć jest wybawieniem mojem z tych błędnych moczarów.

I śmierć jest najwyższą z męczarni, która mój ból unieśmiertelni.

Ta noc szalała od miłości, ja spalam się od Burzy Niewiadomego.

Pożądam ognia, który gorze na obrazach starych katedr—i niechby się we mnie wzniosł duch przez najwyższą męczarnię — aż ku Temu, co jest Mrokiem pełnym ognia, Niebem w otchłani, Wszechświatem i Mną.

(Wódz wyciąga rękę nad horyzont, wpatrzony w Najwyższe i Niewyraźne, Arjaman płonąca żagiew rzuca w wir. — Wajdeloci wiążą łańcuchem do czterech dębów konia w żalobnej oponie, którego oczy zdają się być krwawemi jamami. Zapalają koło niego kłody i smolne wykroty).

WAJDELOCI.

Na złotych wyspach wśród wyjących głębin

góry się wznoszą z czarnych kryształów.

Pałac słoneczny błyszczący lodami,

kwitną na grobach drzewa jabłoni.

Tu góra życia, tam góra zgonu—

w wiecznej męczarni walczą ze sobą—

koń twój świecący musi przelecieć —

między górami gdy się rozewrą.

Najszybszy orzeł ginie w pół drogi,

góry się schodzą i znów rozchodzą—
bohater pędząc na Zorzy koniu,
ujrzy, jak konia rozmiążdżą skały.

(Bolesna, rozdzierająca pogrzebowa melodia. — Kapłani idą korowodem dokoła stosów).

Oj żale, żale—howorzą wody,
wymordowane ciemne narody.
Popioły niecąc z kamiennych urn,
kościelnie płaczą z lochów i turn ¹⁾.
Oj żalu, żalu—chata na palu—
na złe moczary idą oćwiary ²⁾—
z krzykiem żałobnym morskich wronek ³⁾
w mogiły zeszedł smętny dzionek.
Zapala ogniem świętych drzew
ten boży syn -pioruna gniew—
na czarnym koniu z mogilnych rias ⁴⁾
wskrześci umarłych bogów las.
Oj żalu, żalu, ciche nieboże—
z ogniem błyskawic idziesz w bezdroże.
Umarł u wdowy jedyny kwiat,
zatrzał go w lesie czarny gad.

(Wracają z powrotem, rzucając do ognia bursztyn).

Ku radości ludów tej ziemi
daleś ogień nam, święty Swaroże,
na tym koniu czarnym idziesz w morze,
a koń patrzy jamami krwawemi.

Brzękła struna wśród nocy, zadrgał las—
kto nas wróci do życia, z martwych wzniesie nas?
Oj żalu, żalu—ty dziecię boże,
z kwiatem Perkuna idziesz w bezdroże.
Na twej koronie węzary snów,
nad moczarami księżycy nów—
Światowied umarł, żyje płaz—
szumi na wichrze czarny las.

*(Przepaść wiru staje się krwawa, w czarnym słupie dymu pojawia się bóg Prargatis ⁵⁾ —
twarz ciemna, brązowa, oczy skośne, złe — włosy rozwichrzone jak zielony krzew jemioli
na zeschniętym dębie — w ręce bawola czaszka i turzy róg z lejącą się krwią).*

¹⁾ turna — truna. ²⁾ poczwary. ³⁾ mewy. ⁴⁾ święta opończa. ⁵⁾ piekło.

PRARGATIS.

Na koniu w śmiertelnej żałobie
zejdź między czterema ogniami,
Hapuna krew lej mi na grobie
i poświęć mi serce twej Lamii ¹⁾.

Są w czarnych jaskiniach olbrzymy—
pod młotem ich słońce się krwawi,
tu Weja ²⁾ —tu groźny bóg zimy—
tu Atrymp ³⁾ ocean się mgławi.

W przepaściach samotnych twa droga,
jak smok w jaskini wśród mroku
wykujesz z lodowców Swaroga
i ogniem rozpalisz w obłoku.

Lecz miej potęgę kamienną—
w podziemiach, na koniu żarowym,
ożenie Ciebie z Gehenną—
uczynię Cię królem grobowym.

I będziesz duchem tej puszczy,
i żubry nakarmisz znów tonką,
i zbroja na tobie się złuszczy—
górami, kwiatami i łąką.

WÓDZ.

Powracam do Was, rówieśni bogowie,
nagi—nieśmiertelny idę wśród chmur—
palę wam bursztyn, kwiatów pąkowie
i gromom Waszym poddaję ten bór.

W mroku grobowym będę strzegł granic—
Hapuna zmiażdży krzemienny młot —
na górach z lodu, pośród krzesanic —
niechaj się zbierze umarłych zlot.

¹⁾ Łaumia—tęcza, zwodnica—przecudnej piękności—mieszka w obłokach. ²⁾ wiatr.
³⁾ bóg morza.

(Wchodzi skrwawiony Witeź ze strzaskaną tarczą).

WITEŻ.

Hapun oszalał — wrywa pnie,
gryzie w podziemiach grobowca mur,
tam gdzie umarła leży w śnie,
gdzie kaskad śpiewnych zamarł chór.

Pająk trujący biegnie tu wewał,
skrzydłem potwornym te lasy gniew —
tańczy na tłuszczu gnijących ciał —
żądłem zabija przyszłości dzień.

(Arjaman gestem nakazuje milczenie. — Wódz zrzuciwszy płaszcz, w zbroi na nagim ciele, ze strasliwą niezłomnością przechodzi wśród buchających ogni, koń próbuje się wyszarpnąć z tańcuchów i jęczy okropnie. — Jakby się chmura oberwała i przykryła mrokiem. — Błyskawica oświetla niebo, będące pobojowiskiem pożerających się kraterów ognia i chmur. — Ukazują się przełęcz gór groźnych i spadzistych. — Gromada istot podobnych ludziom, o widmowym wyrazie twarzy, stąpa wśród śnieżnych pól, sieczona wichrem, który ich zgina w tył — strąca lub dźwiga, czyniąc z nich jakby zawieruchę liści borych, spadających w jezioro lub rozsypujących się po szczelinach i grotach. — Chwilami wicher ustaje i słychać litanię do Matki Boskiej, która ich prowadzi).

Królowo ślepionych ptaków,
które Ci nuca na błękitach —
Królowo zmarłych polaków,
zakutych w rdzawą stal —
Królowo w piekielnych zgrzytach
niosąca wiosny śpiew —
Królowo łkających mew,
nad morzem w siną dal —

(Mrok i milczenie, gdy Xiężyc oświetla zamek nad otchłanią, poruszenie między pielgrzymami — jedni wyciągnąwszy ręce stoją tak niemi, drudzy padają na twarz i łkają).

Oto zamczysko lśni się w mroku
na górze zimnej jak Gehenna —

— —

i słucha gędźby na obłoku,
którą mu Doła gra płomienna.

— —

Lecz nieprzebyte są wąwozy,
a białe kości widzę w dole —

— —

Królestwo zmarłej legendy i grozy,
z kulą w sercu, z gwiazdami na czole.

— —

W oniemiałych borach sny wiszą
jak nietoperze—

— —

to na drzewach się kołyszą
czarni rycerze.

Niewiasta trzyma zapadającego w studnię
męża w koronie—

on się jak łachman w jej ręku przerywa—
i cóż zostało? krwawe półczłowieka.

— — Ha milcz! rozewrzyj oko duszy! oszalej!

Błyskawica, jakby śmierć biała—

trzepocąc w lodach skrzydłami

zamarzła—w długie śmiertelne południe—

i uczyniło się przez trzy okamgnienia—

trzy sądy—trzy potępienia nad nami.

— —

Duch mi się obłąkał, patrząc na tę bezforemną wizję.

A strach mnie oszczepem przez kręgi grzbietu przedzgał.

Mnie krwawo w oczach—

— — mnie ciemno.

Tulmy się! bo słyszę Saturna

pierścienie — —

te wody, jakby łez urna.

— —

Daj mi człowieka! siądę mu na żyle
i spiję krew.

Przedemną senne ogrody—

złote i czarne motyle — —

— —

Patrzcie, ponad kraterem rozżarzonej lawy
przechodzi widmo i koroną błyska.

— —

a tam okropne larwy pełne wrzawy,
i węże wstają z leśnego bagniska.

— — Ach, i zanurzył w ten krater
i żarzącą milionem płomieni
koronę włożył na skronie—
ach, popalone ma dłonie—
lecz z oczu widzę—bohater.
Staął przed nami, jak zgon.

STARZEC.

I cóż nam czytasz z gwiazd wyroku?

CHÓR.

Mów, proroku!

STARZEC.

Żeśmy czerwie? żeśmy karły?
nieudany ziemi płód?
oto płomień! oto lód!
szpony nas śmierci rozdarły—
nicość męki—nicość słowa—
próżna męka Chrystusowa—
próżny wieków trud—
zagłada wieczna z wyroku—

CHÓR.

Mów, proroku!

STARZEC.

Czemu nas słońce karmiło jasnością?
czemu nam w lipach pszczoły brzęczały?
czemu nas jutrznie witały
lasów żywicznych wonnością?
Umiłowaliśmy tę ziemię,
jako matkę nam rodzoną—
i w moczar nas zapędzono
i szatanów dano brzemię.
W każdej przydrożnej świątyni
na kamiennej posadzce
zostawiamy łzawe twarze
jakby chustę Weroniki.
Modlim się dziewicy Matce
przy każdym drzewku pustyni,

błogosławim każdej trawce,
 ale nas pędzi Mord dziki
 przed okrwawione ołtarze,
 i nie mamy ni życia sposobu,
 ni zbawienia, doszedłszy już grobu.
 I tu, gdzie potwory
 ścielą swe gniazda w pieczarach—
 i ciała sieką na marach—
 gdzie słowicze rozhowory
 i księżyc cicho mdlejący—
 widzimy ród synów gnijący—
 i wytępione już bory.
 Na cmentarzu strasznym świata,
 gdzie sępy jedzą nas żywych,
 kroczymy do stóp litościwych
 Boga, co umarł z rąk kata.

— — —

Nie znamy światła ni drogi
 u cmentarnych bram—
 na bagien grzędzie rozłogi
 padają nasze łzy—
 W kwiatach rozpacznych blekotu
 sycimy czarny miód,
 wyginał prastary lud,
 ustąpił żywemu błotowi.
 Margraf Niedźwiedź ¹⁾—niszczyciel pszczół—
 nas palił, ścinał i więził—
 krwią naszą wypełnił Gral
 i z krzyżem teraz stoi
 zakuty w piekielną stal.
 Podły ciemiężca niewinnych
 przybłędami ziemię struł,
 on kat dla rączek dziecinnych,
 które przybijał do ław—
 obrońca Chrystusa praw!
 on się niczego nie boi—

¹⁾ Albrecht, z przydomkiem Niedźwiedź—morderca ludów pogańskich.

prócz słowiańskiej mściwej pięści —
ten gad łuską zimną chrzęści —
i mieczem na słabych się zbroi.

(Wysuwa się widmo rudego rycerza z mieczem katowskim).

MARGRAF.

Przyśiągłem Jezusowi i sobie,
że wasze ziemie zagarnę —
a słowo me zważne i karne:
na wielkim słowian grobie
zasiało milion kominów —
wycięte prastare bory,
Lutyków — Retrzan — Wagrzynów —
a nadmorski gród Aistów
i Arkony święte zbory
i harfiarski lud Wenedów
wystąpił nasz zakon Chrystów,
a przyzwał zelandów i kwedów.

CHÓR.

On kat dla rączek dziecinnych,
które przybijał do ław —
obronca nikczemnych praw —
on się niczego nie boi
i z krzyżem i z mieczem tu stoi.

WÓDZ.

Słońce tu zmarza i gaśnie,
przy wyciu zimnych mórz —
narody widm kończą tu waśnie —

*(Śnieżna zawierucha zasypuje świat, widać zamarzte już postacie — jedne z wyciągnię-
mi pięściami — drugie klęczące. — Margraf leży przybity do ziemi mieczem własnym,
wódz cicho gra na harfie).*

WÓDZ.

Pójdę za morza w dal,
złamię w sercu mem żal
i słońce podniosę prastare —
tam do więzień głębokich,
tam do zamków wysokich
pójdę ludzi nawracać na wiarę.

Kuśsa wyższe dla kobiet.

im A. Bawieckiego

w Krakowie Karmelicka 36.

Kwiaty rzucę im z pól
i ukoję ich ból
miodowym zapachem lip czarnych,
Bóg pomoże i wzniesie,
w grzechów ciemnych mym lesie
tę świątynię ze stosów ofiarnych.

I powiodę nieznany
braci moich w kurhany
pogrzebionej i śniącej miłości—
Boże, ukój w mem łonie,
ten żar piekiel co płonie
smutkiem czarnym bezbrzeżnej nicości.

*(Stary bóg Perkunas — z rogiem turzym na pasie, z miesiącem za plecyma, który mdło
świeci — mówi do wodza):*

PERKUNAS.

Przyszedłeś na widma spojrzeć,
wnuku Lietuwy ¹⁾ i Znicza—
po naukę wielką—jak umierać—
i niedolę—jak poznać z oblicza?
zanim skonasz—daj mi krwi do kruża—
ja was pomszczę—ja piorun—ja burza!

PRZECHERA.

A ten gotów—i miecza nachyla—
z rąk podartych krwi utocz do kwiatka—
niech się stary zabawi w motyla,
a wystarczy mu puhar z bławatka.

WÓDZ.

Bóg widzi, zemsty nie pragną!

(wskazuje umarłych)

Ale na krwawy ślub bratni
wylewam puhar na bagno
tej krwi—da Wszchemoc—ostatniej!

¹⁾ Bogini rozkoszy.

*(Rani głęboko swą pierś i pełnym potokiem nalewa kruż—widma się cisną—Perkun za-
błysnąwszy, z mocą straszliwą odpycha innych).*

PERKUN.

Jeszcze na was nie jest czas!
w zawieruchę! w czarny mróz—
w opalony świątyni las—
w ruin gruz! *(Błyska piorunami).*
A kto wstanie i we mnie uwierzy—
a kto wstanie—choć pogrzebiony—
i uderzy w złote życia dzwony—
i zapali mój płomień na wieży—
a kto z piersi uczyni świątynię
i zakrwawi się sam u ołtarza—
i otchłaniom będzie za harfiarza—
i nie zwątpi w śmiertelnej godzinie—
temu wzbudzę ja naród upiorów—
i zatrząśnie królów majestatem—
dla najwyższych i maluczkich on bratem
a dla Niemców on—mścicielem borów.

NIJA.

Jam brama—przez mię widma chodzą—
Ja matka zmarłych dusz—
daj mi tej krwi, bo ze mnie się zrodzą
królowie najgłębszych mórz—

PERKUN.

Jeśli się jeszcze w kruży zostało,
to pij! mnie dosyć—

NIJA.

Mnie mało!

i to—dla umarłych mych dzieci—
ja Nioba, płaczka pobożowisk,
ja kapłanka, co stosy roznieci—
ja olbrzymka idąca wśród mrowisk
wylewam tej krwi objatę
na światy twórcze z płomienia.

MATKA BOSKA (*twarz jej prawieczna w piękności, z najgłębszą zadumą i smutkiem*).

Kto zbuduje wolną chwałę
większym jest — niż król więzienia.

(*Boginie podchodzą do niej i koronują różowiącemi smugami przedświtu*).

BOGINIE.

Z nas umarłych weź te lśnienia —
niesiem dary nie bogate:
Żemes-mate, Meża-mate,
Juras-mate, Weja-mate,
Ugnus-mate, Bittes-mate,
Welia-mate, Darża-mate ¹⁾
Ko ludi seseli, ko ludi?
Ko ludi lelijeli, ko ludi? ²⁾

(*W chmurze czarno-śnieżnej i krwawiącej się — pełnej gór i przepaści — zapadli — widać dogorywający już stos — wilezie zanurzają w popiołach miecze, każdy kapłan iskrę bierze do wnętrza swej wydrążonej krywuli — Arjaman modląc się z podniesionymi rękoma, prowadzi ich po zielonych napowietrznych mostach. — Runęła chmura i zalała stos kłębem pian, zawierucha liści kurzy się w trąbie powietrznej, wierzchołki drzew fruwały jak ścięte nożem, stado żubrów w popłochu uciekając przed powodzią, pędzi jak burza z pochyłymi łbami*).

Tadeusz Miciński.



¹⁾ Matka ziemi, lasu, morza, wiatru, ognia, pszczoł, mogił, ogrodów.

²⁾ Czego się smucisz siostrzyczko, czego się smucisz? czego się smucisz lilijko czego się smucisz?

Ręce.

*W długie noce trawione w snach i przeczuć męce,
Wpółśród godzin nabrzmiałych czarnej nocy ciszą —
Śnią mi się cudne ręce-sny, kobiece ręce,
Girlandy rąk, co w srebrnym rytmie się kołyszczą.*

*Widzę je dzisiaj wszystkie, marzone zamłodu —
Ręce, na których piękno krwi rubinem płonie.
O ciche, smukłe kwiaty z Wieczności ogrodu,
O drogie — snu ustami całowane dłonie!*

*Ręce oblubienicy ze złotym pierścieniem,
Których różane palce drżą miłosną trwogą. —
Ręce dzieci, co słońca pochwycić nie mogą,
O barwie wosku, — którym śmierć jest przeznaczeniem.*

*Ręce królewien — pełne dumy i rozkazu,
Które zrywają złote róże dusz w majowe rano. —*

*Ręce pielgrzymek bożych, którym ani razu
Pić soku zapomnienia z winnych gron nie dano.*

*Ręce jasnowidzących, płonące, jak szczęście
Objawienia, owiane wkrąg mgławicą bożą. —
Ręce szalonych, które potępieniem grożą,
Konwulsyjnie, zaciekle zaciśnięte w pięście.*

*Ręce kobiet upadłych — cudne urny grzechu,
Gdzie trucizna zawrotna wre pod skórą bladą. —
Ręce szarytek, które na rany się kładą,
Pełne miodu, snu, ciszy, cudu i uśmiechu.*

*Każda osnuta siecią bruzd, jak pajęczyną,
Opłynionych zdrojami krwi ciemnoniebieskiej.
O! święte runy dłoni, które we krwi giną!
O! tajemne, mistycznie piękne arabeski!*

*Jedne są, jak te wyschłe źródła i strumienie,
Skąd tryskał boski napój wszystkich czar Graala, —
Inne są, jak te rany, któremi milczenie
Tłumione dzieje cichych ludzkich dusz wypala.*

*Jedne mówią — te mają niemal głos wyrazu
Huczący, piorunowy, słodki czy złowrogi. —
Inne są, jak szlachetne linie krajobrazu —
Czysty dziw: wiekuiście skrzyżowane drogi.*

*Kto je wyłabiał, rzeźbił, pieścił, snuł?... Dlaczego
Są, jak szlaki zmaczone planet bezkrólewem?...*

*Gdzie giną bez pamięci? Co wieszczą? Skąd biegą?...
Może to cienie śmierci? Może sny gwiazd? Nie wiem...*

*Nie wiem... Lecz w nocy błędnym wirem korowodu
Przewiną się, wiecznością na usta mi wioną,
Wtedy widzę je wszystkie — wyśnione za młodu —
Drogie — ustami marzeń całowane dłonie!*

WŁADYSŁAW STERLING.



Z Verlaine'a.

Fragment sentymentalny.

Przez stary park osamotniony, głuchy,
Dwa cienie idą, dwa przelotne duchy.

Oczy ich martwe, cicha ich rozmowa,
Zaledwie słychać wyszeptane słowa.

Idą przez kręte zarosłe ścieżyny
I wywołują minione godziny.

— Pomnisz nasz szal, nasz sen o szczęściu złotem?

— Czemu pan chcesz, bym pamiętała o tem?

— Bijeż twe serce na moje spotkanie?

Widzisz mnie ciągle w snach swoich? — Nie, panie.

— Ach, piękne były owe chwile w borze,
Gdyśmy łączyli swe usta! — Być może.

— Tyle było nadziei, tak jasne lazury!

— Nadzieja uleciała, słońce skryły chmury.

Tak sami szli przez te ścieżyny płowe
I tylko noc słyszała ich rozmowę.

Z cyklu „Mądrość”.

I.

Czarne skrzydła uśpienia
Spadły na mą duszę,
Zasypiajcie, marzenia,
Zaśnijcie „katusze“!

Wszystko z oczu mi ginie,
W pamięci szarzeje,
Złe i dobre przeminie,
O bolesne dzieje!

Ponad otchłani cienie
Jak kołyska wiszę,
Czyjaś dłoń mnie kołysze,
Milczenie, milczenie!

II.

Nie wiem, dlaczego
Duch mój w błędnym szale
Na skrzydłach trwoźnych, czarnych, rwie się ponad fale,

Miłość moja wszystkiego,
Co mi drogie, wytrwale
Szuka nad głębią morza. Dlaczego, dlaczego?

Jak dzika mewa, krążąca w przestworze,
Myśl moja błędna nad odmęty wzlata,
Nadstawia piersi wszystkim wichrom świata
I ulatuje, gdy opada morze,
Jak dzika mewa, krążąca w przestworze.

Słońcem upojona
I żądzą swobody,
Bez pamięci się zrywa nad niezmierne wody,
Wiatr z nią leci w zawody,
Gdzie ta łuna czerwona,
I łagodnie ją niesie w chłodne pólśniu ramiona.

Czasem tak smutno, tak boleśnie woła,
Że krzyk jej słyszą rybacy w oddali,

Po tem oddaje się wichrom i fali,
Opada nisko i krąży dokoła,
Znowu się wzbija i tak smutnie woła!

Nie wiem, dlaczego
Duch mój w błędnym szale
Na skrzydłach trwożnych, rwie się ponad fale,
Miłość moja wszystkiego,
Co mi drogie, wytrwale
Szuka nad głębią morza. Dlaczego, dlaczego?

Henryk S. Kamiński.



Jajo Kryształowe.

H. G. Wells.

Jeszcze w roku ubiegłym był niedaleko *Siedmiu Zegarów*, mały, niezbyt estetyczny sklepik, a nad nim szyld malowany z napisem w półzartych złotych literach: *C. Cave naturalista i handlarz starożytności*. Wystawa sklepowa była ciekawie urozmaicona. Widziałeś tam kły słoniowe, zbrakowane figury do gry w szachy, wyroby ze szkła, broń, pudełko oczów, dwie czaszki tygrysie, czaszkę ludzką, kilka małąp — (jedna z nich trzymała lampę)—wypchanych i zjedzonych przez mole, stare meble wyszłe z mody, jajo strusie upstrzone przez muchy, szklane akwaryum, nadwyzwyczajnie brudne, zupełnie puste.—Była też w witrynie, w chwili gdy się ta historia zaczyna, masa kryształowa w formie jajka, cudownie wypolerowana. Jajko to oglądali dwaj panowie, którzy się zatrzymali przed wystawą: jeden, duchowny wysoki i szczupły, drugi młody człowiek o bardzo czarnej brodzie, o cerze ciemnej, przyzwoicie ubrany....

Młody człowiek ciemnocery żywo gestykulował i, zdawało się, bardzo pragnął namówić swego towarzysza do kupna tego przedmiotu.

W tym czasie p. Cave wyszedł z pozasklepia, żując resztkę chleba z masłem swej śniadaniowej herbaty. Gdy ujrzał obu panów i przedmiot ich zajęcia, stracił spokój ducha. Rzucając bojaźliwe spojrzenie poprzez

ramię, łagodnie zamknął drzwi. P. Cave był to starzec mały, o bladej twarzy, ze szczególnymi wodnisto-niebieskimi oczami; włosy miał brudnopopielate, ubrany był w niebieski połatany surdut, kapelusz miał jedwabny i pantofle haftowane, wielce zmiętoszone. Zaczął śledzić obu ludzi. Duchowny zagłębił rękę w kieszeni od spodni, badał garść monety, którą stamtąd wydobyl i miły uśmiech pokrył jego usta. P. Cave zdał się jeszcze bardziej zmieszany, gdy ich ujrzał wchodzących do sklepu.

Clergyman bez żadnej innej ceremonii zapytał go wprost o cenę kryształowego jajka. — P. Cave rzucił niespokojnym okiem w stronę mieszkania za sklepem i odpowiedział: — „Pięć gwinej.” — Duchowny, zwracając się jednocześnie do swego towarzysza i do p. Cave, zaczął dowodzić, że cena zbyt wysoka i chciał się targować. — W istocie była to cena znacznie wyższa od tej, jaką zamierzał określić starożytnik, gdy zawieszał jajo na wystawie. P. Cave zbliżył się do drzwi sklepu i otworzył je:

— Pięć gwinej, to moja ostatnia cena — mówił, jakby chcąc oszczędzić sobie nudnej i bezużytecznej rozmowy.

W tej chwili, twarz kobieca ukazała się w odchylonej zasłonie, która ukrywała górną część oszklonej szafki u drzwi poza sklepem — i małe oczki ciekawie oglądały dwóch klientów.

— Pięć gwinej, to moja ostatnia cena — powtórzył p. Cave z drżeniem w głosie.

Młodzieniec o ciemnej cerze, dotąd był prostym widzem i przyglądał się przenikliwie p. Cave. Naraz przemówił:

— Daj mu pięć gwinej.

Clergyman obrócił się ku niemu, by widzieć, czy też on mówi serio, a gdy jego spojrzenia znowu spoczęły na p. Cave, zauważył, że twarz starca całkowicie pobladła.

— To znaczna suma — rzekł clergyman i, szukając w kieszeni, zaczął rachować pieniądze. Miał tylko 30 szylingów i musiał prosić o resztę swego towarzysza, z którym zdawał się być na stopie wielkiej poufałości. To dało p. Cave czas do zebrania myśli; zaczął on z pewnym pomieszaniem tłumaczyć, że w istocie jajo kryształowe nie jest wcale do sprzedania. Klienci oczywiście byli tem bardzo zdziwieni i pytali, czemu im nie powiedział tego odrazu. P. Cave, niezbyt pewny siebie, zaczął bając jakąś nieprawdopodobną historję, twierdząc, że niemoże im sprzedać tego kryształu dzisiaj popołudniu, że rankiem był tu już pewien klient który zastrzegł ten przedmiot dla siebie. Goście sądząc, że ze strony kupca był to podstęp, aby jeszcze bardziej cenę podwyższyć, udali, że niby wy-

chodzą. Ale w tej chwili rozsunała się zasłona poza sklepem i właścicielka małych oczek weszła. Była to kobieta korpulentna, o rysach popolitych, młodsza i grubsza, niż p. Cave: szła ciężko naprzód, a twarz miała czerwoniastą.

— Kryształ jest do sprzedania — twierdziła — a pięć gwinej, to cena dostateczna. Pytam, co ci się stało, panie Cave, że nie chcesz przyjąć tego, co dają ci panowie. P. Cave, wielce rozdrażniony tą napaścią, rzucił swej żonie poprzez okulary spojrzenie pełne gniewu — i niezupełnie stanowczo bronił swego prawa co do prowadzenia interesów, jak je rozumie. Nastąpił spór, a goście obserwowali tę scenę, która ich bawiła i zajmowała, przyczem dopomagali pani Cave pytaniami i aluzjami. P. Cave, sfukany, wytrwale powtarzał swoją niewyraźną i niemożliwą historię o kliencie, który przyszedł rano, a rozdrażnienie jego stało się przykre. Lecz się uparł mimo wszystko z nadzwyczajną zawziętością. Młody syn Wschodu zakończył ten osobliwy spór. zaproponował, że wróca za dwa dni, aby rzekomemu klientowi dać czas i sposobność postanowienia.

— A wtedy — rzekł duchowny — nie wąpimy... Pięć gwinej...

Pani Cave uważała za swój obowiązek, wytłumaczyć męża, że bywa on niekiedy trochę dziwaczny i gdy obaj klienci opuścili sklep, małżeństwo dalej się spierało.

Skoro tylko zostali sami, pani Cave zainterpelowała męża ze szczególną królewskością. Biedny człowieczek, drżąc ze wzruszenia, mamrotał swoje bajki, już to dowodząc, że miał innego nabywcę na widoku, już to, że jajko warto niewątpliwie piętnaście gwinej.

— A więc czemu żądałeś tylko pięć!

— Ach, do licha! Czy mi w końcu nie dasz prowadzić interesów, jak ja je rozumiem? Co? — zakończył p. Cave.

P. Cave miał pasierba i pasierbicę, którzy z nim mieszkali — i pod wieczór, przy obiedzie, chybiona transakcja stała się znowu przedmiotem dyskusji. Nikt tu nie miał wysokiej opinii o metodach handlowych pana Cave, a ta ostatnia sprawa zdała się im szczytem waryacji.

— Jestem pewien, że on nieraz już odmówił sprzedaży tej skorupy — mówił pasierb, ciężki, kosmaty parobek, osiemnastoletni.

— Ale pięć gwinej! — dodała pasierbica, młoda, dwudziestokilkuletnia, bardzo rozsądna osoba.

Odpowiedzi p. Cave były godne pożałowania: belkotał bojaźliwie jakieś puste słowa, zapewniając tylko, że wie co robić należy. Ledwie się skończył obiad, zaczęto sklep zamykać na noc. Uszy mu płuły, a w oczach za okularami błysły łzy udręczenia.

— Czemu do dyabła—mówił sam do siebie—zostawiłem tak długo jajko w witrynie? Co za szaleństwo!

To go męczyło najbardziej. Długo czekał bezskutecznie sposobu, by uniknąć sprzedaży.

Po zamknięciu sklepu pasierbowie wystroili się i udali się do znajomych. Żona poszła na górne piętro, by tam rozmyślać o zaletach handlowych jaja kryształowego, przyczem lubowała się w sekrecie mieszaniną ciepłej wody, cukru, cytryny i... innej rzeczy. P. Cave pozostał bardzo długo w sklepie, pod zewnętrznym pozorem, iż zamierza porobić małe ozdobne skałki w starych akwaryach, ale w istocie miał on utajony cel, który się wyjaśnił dopiero później sam przez się. Nazajutrz rzeczywiście pani Cave spostrzegła, że jajo kryształowe wyjęte było z witryny i znajdowało się teraz poza stertą zbutwiałych książek, traktujących o łowieniu ryb na wędkę. Przeniosła je natychmiast na miejsce widoczne, ale nie robiła z tego powodu mężowi zbyt ostrych wyrzutów, gdyż okropna nerwalgia nie pozwoliła jej na to. Dzień przeszedł bardzo nieprzyjemnie, P. Cave, pomijając inne rzeczy, był tego dnia bardziej roztargniony, niż zwykle i nadzwyczaj drażliwy. Po południu, w chwili, gdy jego żona odbywała swą codzienną siestę, wyciągnął jeszcze raz jajo kryształowe z witryny.

Nazajutrz p. Cave miał zamówione dostarczenie partii świnek morskich do dyrekcji jednej z klinik szpitalnych. W czasie jego nieobecności, myśl pani Cave wróciła do kryształu i najlepszych sposobów zużycowania takiej gratki. Wymarzyła sobie bardzo miłe rzeczy, a między innymi suknię z zielonego jedwabiu dla siebie, a dla wszystkich wycieczkę do Richmond, gdy naraz zgrzyt klamki u drzwi wchodowych na nowo ją wezwał do sklepu. Klient był to nauczyciel szkoły ludowej, który przyszedł się żalić, że mu dotąd nie dostarczono żab, zamówionych jeszcze wczoraj. P. Cave nie lubiła tej szczególnej gałęzi handlu p. Cave, to też biedak, który czynił swe reklamacye w sposób dość zadzierzysty, po krótkiej wymianie słów, dyplomatycznie wyszedł ze sklepu. Wówczas spojrzenie p. Cave naturalnie zwróciło się ku witrynie: gdyż widok jaja kryształowego stanowił dla niej pewność pięciu gwinej i urzeczywistnienia marzeń. Jakież było jej zdumienie, gdy nie zobaczyła go na zwykłym miejscu. Zajrzała poza książki, gdzie znalazła je wczoraj, było tam pusto. Jajko zniknęło i zaczęła go szukać gorączkowo po całym sklepie.

Gdy p. Cave wrócił z parą świnek morskich, o godzinie drugiej bez kwadransa po południu, zastał sklep nieco w beładzie, a żona jego, siedząc na ziemi, za kontuarem, przerzucała zapasy do wypychania zwie-

rzą, w stanie ducha poprostu zrozpaczonym. Twarz jej była purpurowa ze złości, gdy naraz drzwi zaskrzypiały i wszedł mąż: z miejsca też oskarżyła go, że *ukrył*.

— Ukrył, co? — zapytał p. Cave.

— Jajo kryształowe.

Na to, p. Cave, na pozór strasznie zdumiony, poskoczył ku witrynie.

— Nie ma go już tam! Wielcy Bogowie! co się z nim stało?

W tej samej chwili pasierb p. Cave, dopiero co przybywszy do domu, wyszedł z pozasklepiea — klnąc przeraźliwie; jako uczeń stolarski na tej samej ulicy, stołował się w domu, i oczywiście był wściekły, że objad nie gotowy.

Ale gdy się dowiedział o stracie jaja kryształowego, zapomniał o objedzie i cały gniew jego zwrócił się przeciw ojczymowi. Pierwsza ich myśl była z konieczności ta, że stary jajko ukrył, ale p. Cave energicznie temu przeczył: nie wiedział nic o losie jajka — na chybi trafi rzucił te słowa i tak zręcznie pokierował sprawą, że naprzód oskarżył swoją żonę, a potem pasierba, jakoby jedno z nich wzięło przedmiot sporu i sprzedało na swoją korzyść. Tak się rozpoczęła dyskusya ostro-kwaśna i rozdrażniona, która się zakończyła u pani Cave atakiem nerwowym, czemś pośrednim między epilepsyą a furją, skutkiem czego pasierb spóźnił się o półgodziny do warsztatu. P. Cave cofnął się do sklepu, zdala od wzruszeń pożycia małżeńskiego. Wieczorem, kwestyę tę poruszono na nowo, z mniejszą namiętnością a bardziej z punktu praktycznego, pod kierownictwem pasierbicy. Objad był przykry i ostatecznie rozprawa zakończyła się gwałtownie. P. Cave doszedł widocznie do krańcowego rozdrażnienia i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Reszta rodziny, oczerniwszy i obgadawszy starca ze swobodą, którą gwarantowała jego nieobecność, zaczęła przeszukiwać dom od piwnicy do poddasza, w nadziei, że znajdzie się utajony kryształ.

Nazajutrz dwaj klienci wrócili. Pani Cave przyjęła ich prawie łzami w oczach. Dała im do zrozumienia, że nikt wyobrazić sobie nie może cierpień, jakie ona znosić musiała ze strony p. Cave w czasie swej pielgrzymki małżeńskiej... Stworzyła z miejsca pełną fantazyi opowieść o zniknięciu kryształu... Clergyman i indyjczyk spojrzeli na siebie i zaznaczyli, że istotnie sprawa to nadzwyczajna: ponieważ jednak pani Cave zdawała się skłonna do opowiedzenia im szczegółowej historii swego żywota, ruszyli ku wyjściu. Wówczas, czepiając się jeszcze jakiejś nadziei, pani Cave poprosiła duchownego o adres, aby móżdż im donieść, skoro uda się jej coś wydobyć z p. Cave. Adres dostała, ale zapewne wkrótce

jej zaginął, gdyż nigdy nie mogła sobie nic przypomnieć w tym przedmiocie.

Wieczorem tego samego dnia, rodzina—jak się zdawało—doszła do kresu swoich wzruszeń, i p. Cave po długiej nieobecności przez całe popołudnie, jadł kolację w posepnem odosobnieniu, które stanowiło dlań miły kontrast po kłótniach dni poprzednich. Przez jakiś czas stosunki w rodzinie p. Cave były dość spokojne, ale ani jajo kryształowe, ani rzekomy klient, nie powrócili.

Teraz, bez żadnego obwijania w bawełnę, musimy wyznać, że p. Cave był kłamcą. Wiedział on doskonale, gdzie się znajduje kryształowe jajo, albowiem sam zdał je pod straż p. Jacoby Wace, asystenta-preparatora w *St. Catherine's Hospital*, Westbourne Street. Jajo pomieszczone było na etażerze, pokryte częściowo kawałkiem czarnego aksamitu, koło flaszki amerykańskiej whisky. Prawdę mówiąc, właśnie od p. Wace mam szczegóły, na których opiera się niniejsza historia. P. Cave zaniósł jajo do szpitala, ukrywszy je w worku wraz ze świnkami i bardzo prosił młodego uczonego, aby czuwał nad tym skarbem. P. Wace uczuł z początku niejake wątpliwości. Jego stosunek z p. Cave był dość osobliwy.

Lubując się w ludziach dziwacznych, zapraszał kilka razy starca do siebie na cygara i piwo, przyczem ten rozwijał przed nim swoje wielce zabawne poglądy na życie w ogóle, a na kobietę w szczególności. P. Wace spotykał też i panią Cave, gdy zachodził do sklepu za jakim sprawunkiem i gdy p. Cave był nieobecny. Wiedział on, przez jakie udręczenia przechodził ten biedak; zważywszy konsekwencye, zgodził się dać *asylum* kryształowi. P. Cave obiecał innym razem wyjaśnić szczegółowo przyczyny swego wyjątkowego przywiązania do jaja kryształowego—i mówił w sposób przekonywający o wizjach, które w niem spostrzegał. Wrócił do p. Wace tegoż samego wieczoru.

Opowiedział historję bardzo skomplikowaną. Jajo kryształowe, mówił, dostało się w jego posiadanie wraz z innymi przedmiotami, kupionymi na licytacji po śmierci jednego z kolegów; nie znając istotnej wartości jaja, oznaczył cenę na dziesięć szylingów. Przechowywał je w ten sposób kilka miesięcy i myślał o znizeniu ceny, gdy naraz zrobił szczególne, nadzwyczajne odkrycie.

W owym czasie był on nie bardzo zdrow—należy mieć w pamięci, że w czasie całej tej sprawy jego stan fizyczny był nader lichy—i czuł się wielce rozżalonym z powodu lekceważenia i wprost złego traktowania przez żonę i jej dzieci. Żona jego była próżna, grymaśna, szorstka; rozwijało się w niej coraz bardziej zamiłowanie do gorących trunków.

Pasierbica była drobiazgowa i pretensjonalna, a pasierb czuł ku niemu gwałtowny wstręt, którego mu przy żadnej sposobności nie omieszkał okazywać. Wszystkie trudy handlu spadały na niego, i p. Wace nie wierzy, aby starzec był zupełnie wolny od nieumiarkowania—przy okazji. Rozpoczął on jako człowiek zamożny, miał pewne wykształcenie ale cierpiał długie czasy na hypokondryę i bezsenność. Lękając się niepokoić rodzinę, gdy go zbyt myśli dręczyły, wychodził z łóżka, nie budząc żony i błędził po domu. Rankiem, około godziny trzeciej, w końcu sierpnia, przypadek go zaciągnął do sklepu.

Zapełniona gratami, zapyłona i brudna—izba cała była nieskończenie ciemną, prócz jednego miejsca, w którym spostrzegł niepospolitą światłość. Zbliżył się i znalazł, że świeciło właśnie jajo kryształowe, w pobliżu witryny, na kantorku. Małeńki promyk przenikał przez szczelinę okiennicy, uderzał w kryształ—i zdało się, możnaby powiedzieć—napęniał całe jego wnętrze. P. Cave pomyślał, że nie było to w zgodzie z prawami optyki—tak jak on je sobie przypominał. Mógł on rozumieć załamanie promieni aż do ogniska wewnętrznego, ale ta dyfuzja naruszała zupełnie jego pojęcia o przejawach fizycznych.—Zbliżył się jeszcze bardziej do kryształu, badając go we wszystkich kierunkach, z nagłym przebudzeniem tej ciekawości naukowej, która za młodu określiła jego wybór zawodu. Był zdumiony, że światło nie było stałe, ale mięszało się z wewnętrzną substancją jaja, jakgdyby przedmiot ten był kulą próżną, w której się mieści jakiś eter świetlny. Obracając jajo dokoła, aby je widzieć z różnych stron, spostrzegł nagle, że sam stoi między promieniem a jajkiem, a jednakowoż kryształ promienieje. Wielce zdziwiony, wziął je i zaniósł do najciemniejszego kąta w sklepie. Kryształ świecił jeszcze cztery do pięciu minut, poczem z wolna pobladł i zgasł.—Położył go znów w wąziutkiej linii promienia, gdzie kryształ prawie natychmiast odzyskał całą swą świetność.

Dotychczas przynajmniej, p. Wace mógł z miejsca sprawdzić szczególną historię p. Cave. Sam, w różnych kierunkach, pomieszczał jajo w promieniu światła (którego średnica musiała być mniejsza od milimetra), a w ciemności doskonałej, jaką wywołać może zasłona aksamitna, kryształ zdawał się niewątpliwie słabo fosforyzującym. Bardzo zresztą możliwe, że światło to jakiegoś wyjątkowego rodzaju i nie jednakowo dla wszystkich oczu widzialne, gdyż p. Harbinger—którego nazwisko znanem jest wszystkim ludziom nauki—był całkowicie niezdolny do zobaczenia jakiegokolwiek światła. Również zdolność widzenia p. Wace była bez porównania słabszą od zdolności p. Cave. Nawet u p. Cave siła ta zmieniała się bardzo znacznie,

a widzenie jego było najżywsze w momentach zupełnego osłabienia i wielkiego utrudzenia fizycznego.

Owóż, od samego początku, światło w jaju kryształowem wywierało na p. Cave jakiś wpływ fascynujący. Fakt, że nie udzielił on żadnej istocie ludzkiej tajemnicy swych obserwacyj — więcej mówi o wyosobnieniu jego duszy, niż cały tom patetycznych frazesów. Zdaje się, iż żył on w atmosferze tak nędznej złośliwości, że wyznać taką rozkosz — znałyoby to ją utracić. Zauważył też, że w miarę, jak zorza się przybliżała i rosła ilość i moc rozlanego światła, jajo kryształowe stawało się zewnątrz niepromieniste. Przez jakiś czas nie był zdolny nic widzieć wewnątrz, wyjąwszy wieczorem, w ciemnych kątach sklepu.

Lecz przyszło mu do głowy użyć starego kawałka czarnego aksamitu, na którym leżała przedtem kolekcya minerałów; złożywszy go we dwoje i nakładając go na głowę i ręce, doszedł do tego, że mógł widzieć ruch świetlny wewnątrz jaja, nawet i we dnie. Działał z wielką przezornością z obawy, by go nie wysledziła żona — i oddawał się temu zajęciu tylko po południu, ostrożnie, pod kontuarem, w czasie, gdy żona urządziła swą poobiednią siestę. Pewnego dnia, obracając jajo w rękę, ujrzał nagle coś. Przeszło to jak błyskawica, ale miał wrażenie, że kryształ na mgnienie oka — objawił mu istnienie jakiejś obszernej, niezmierzonej i dziwnej krainy; i go jeszcze obracał, w chwili, gdy światło zamierało i miał znowu tę samą wizję.

Byłoby rzeczą nudną i bezużyteczną przedstawiać wszystkie fazy odkrycia p. Cave od tej chwili. Wystarczy, gdy powiemy, że rezultat był taki: patrząc w kryształ pod kątem 137 stopni kierunku promienia, widział w jego wnętrzu jasne i ściśle określone malowidło jakiejś wielkiej i szczególnej krainy. Nie była to bynajmniej wizya chimeryczna! Dawiała to wrażenie doskonale rzeczywistości; a im światło wewnętrzne było większe, tem rzeczywistsze i stalsze było widowisko. Był to obraz ruchomy, to znaczy, że pewne przedmioty się w nim poruszały, ale powoli, w sposób pełny ładu i logiki, jak przedmioty rzeczywiste, a przytem, stosownie do kierunku, w którym kryształ oświetlano i badano, zmieniał się też i obraz. Prawdę mówiąc, musiało to wywoływać takie właśnie wrażenie, jakgdyby kto oglądał jaki widok po przez szkło owalne, obracając je na wszystkie strony, aby otrzymać coraz inną postać widoku.

P. Wace zapewniał mnie, że opisy p. Cave były pełne szczegółów nadzwyczaj dokładnych oraz zupełnie wolnych od wszelkiego rodzaju wzruszeń, jakie spotykamy przy halucynacjach. Trzeba jednak zaznaczyć, że wszelkie wysiłki p. Wace, aby widzieć te same rzeczy przy po-

dobnem światłem przy słabem opalizowaniu kryształu — były całkowicie próżne, jakkolwiek brał się do tej rzeczy. Ale różnice w natężeniu wrażeń, których doznawał ten i tamten — były bardzo wielkie, tak, że jest zupełnie zrozumiałem, że to co dla p. Cave było przejrzystą wizją, panu Wace przedstawiało się, jako mgła niewyraźna.

Opis, jaki podawał p. Cave, był niezmiennie jeden i ten sam: była to rozciągnięta płaszczyzna, którą zdawało mu się zawsze, że ogląda ze znacznej wysokości, jakby z wieży lub masztu. Na wschód i na zachód, w dosyć wielkiej odległości zamykały równinę duże opoki różowawe, a które przypominały mu góry, widziane niegdyś na obrazie: ale jaki to był obraz, p. Wace nie mógł objaśnić. Skały te szły ku północy i ku południowi — (p. Cave rozpoznawał kardynalne punkty świata według gwiazd widzialnych w nocy) — płynąc w perspektywę prawie bezgraniczną i zacierając się w dalekich mgłach, zanim się mogły urwać. Od pierwszego widzenia był on bliżej wschodniego łańcucha skał, nad którym wspinało się słońce. I oto widział p. Cave ciemne przy świetle, a blade w cieniu, gromady istot latających, które obserwator uważał za ptaki. W dole pod temi istotami rozciągała się wielka ilość budynków; ciągle mu się zdawało, że patrzy na nie z wielkiej wysokości, a w miarę, jak się zbliżały do pogranicza obrazu, załamywały się i rozlewały w kształty niewyraźne. Były też w tem widzeniu drzewa, nadzwyczaj ciekawe pod względem barwy i formy; gęsta mszysta zieleń i szarość wytworna nad brzegiem szerokiego, skrzyjącego się kanału.

Wielki przedmiot, świetnie zabarwiony, nagle przeleciał przez krajobraz. Ale gdy p. Cave widział te rzeczy poraz pierwszy, było to jakby błyskawicznie. Ręce mu drżały, głowa się chwiała; widzenie się przerwało — i miał początkowo wielką trudność w odnalezieniu wizji, ilekroć gubił kierunek.

Drugie widzenie było jaśniejsze; miał je mniej więcej w tydzień po pierwszym, a w przerwie tej robił próby badawcze i użyteczne doświadczenia, tak iż mógł teraz widzieć dolinę w całej długości. Widok był odmienny, ale p. Cave miał ciekawą pewność, — którą jego następne obserwacje dostatecznie stwierdziły, że widział ten dziwny świat w tem samym miejscu, choć go oglądał w innym kierunku. Długa fasada wielkiego budynku, którego widział z początku dach, usuwała się teraz w perspektywę. Poznawał dach. Przed fasadą był upłaz o proporcyach ogromnych i nadzwyczajnej długości, a na środku tarasy, w pewnych odstępach, widać było maszty wysokie, lecz bardzo wdzięczne dla oka, na których szczytcie znajdowały się jakieś małe, świetnie błyszczące przedmioty,

a w ich wnętrzu odbijało się zachodzące słońce. Znaczenie tych przedmiotów zrozumiał p. Cave dopiero później, mianowicie wtedy, gdy opisywał swe wizye panu Wace. Na przodzie upłazu jaśniała gęstwina rozkosznej i bujnej roślinności, a poza nią była szeroka zielona murawa, na której odpoczywały jakieś wielkie kreatury, w kształcie chrabąszczy, ale znacznie większe. Po za tą murawą szła droga bita z kamienia różowego, bogato przyozdobiona, a dalej jeszcze toczyła się migotliwa obszerna przestrzeń wodna, wśród dwóch szeregów gęstych trzcin *czerwonych*, płynąc ściśle równolegle z dalekimi skałami. Powietrze zdawało się pełne batalionów wielkich ptaków, które latały w majestatycznych hyperbolach, a na drugim brzegu rzeki widać było całe szeregi budynków, bogato ubarwionych, skrzących się od siatek i ścianek metalowych, a wszystko otaczał las drzew omszonych i pokrytych liszajami. Nagle, jakby coś kilkakrotnie trzasnęło poprzez widzenie, niby uderzenia skrzydeł lub wachlarza, i twarz jakaś, albo raczej górna część twarzy o szerokich oczach zbliżyła się niejako do jego twarzy, tak właśnie, jakby się znalazła po drugiej stronie kryształu. P. Cave był tak przestraszony i uderzony absolutną rzeczywistością tych oczu, że nagle poruszył głowę, aby spojrzeć poza kryształ. Tak był pogrążony w kombinowaniu, że zdziwił się niepomniernie, gdy nanowo się znalazł w ciemności swego sklepiku ze zwykłym jego zapachem metolu, pleśni i zamknięcia. I, gdy mrugał oczami, światło kryształu osłabło i zagasło.

Takie były pierwsze wrażenia ogólne p. Cave. Historia ich jest ciekawie pozytywna i drobiazgową. Już w początku, gdy mu się wizya objawiła na mgnienie oka, wyobraźnia jego została uderzoną, lecz gdy zaczął oceniać szczegóły widoku, zachwyt jego zmienił się w namiętą ciekawość. Zaniedbywał interesa, beztroski i roztargniony, myślał tylko o tym momencie, gdy będzie mógł wrócić do swej kontemplacji. Wtedy to, w parę tygodni po pierwszej wizyi, przyszli dwaj klienci; wtedy zrobiło się owo udrećcenie, które mu sprawiła ich oferta, wtedy zniknęło w tajemniczy sposób jajo kryształowe, i nastąpiły wszystkie opowiedziane już wypadki.

Dopóki sprawa ta stanowiła tajemnicę p. Cave, jajo kryształowe było poprostu dziwem, który można pod sekretem oglądać w zachwyceciu, tak jak małe dziecko bada zakazany ogród. Ale p. Wace, jako młody uczony badacz, posiada przyzwyczajenia umysłowe szczególnie przenikliwe i logiczne. Skoro tylko miał w ręku jajo i poznał jego dzieje i gdy był pewien, widząc na własne oczy fosforescencję kryształu, że istniały rzeczywiście dowody na potwierdzenie słów p. Cave, uważał za swój obowiązek rozwinąć tę kwestyę systematycznie. P. Cave niecierpliwie po-

żądał rozkoszy oglądania tej czarodziejskiej krainy — i przychodził tu co wieczór, od wpół do dziewiątej do wpół do jedenastej, a czasami w nieobecności p. Wace, wpadał nawet i we dnie. Przychodził też każdej niedzieli po południu. Początkowo p. Wace robił liczne notaty — i jego to metodzie naukowej zawdzięczamy znajomość stosunku między linią, po której promień pierwotniczy wchodził do jaja kryształowego, a oryentacją widzenia. Zamykając jajo w skrzynecze, w której przebił jedynie mały otwór dla promienia świetlnego i zastąpiwszy swe giemzowej barwy firanki gęstem czarnym płótnem — znakomicie ulepszył warunki obserwacji, tak, iż w niedługim czasie mogli badać dolinę, w jakim tylko zapragnęli kierunku.

Tak rozwikławszy zadanie, możemy teraz dać krótki opis tego świata widzialnego, który się mieścił w kryształach. W każdym razie p. Cave robił doświadczenia, o których mówimy, a metoda jego polegała niezmiennie na tem, że obserwował kryształ i opowiadał, co widział, gdy p. Wace (który, jak każdy człowiek nauki, umiał pisać po ciemku) krótko zapisywał jego słowa. Gdy kryształ stawał się przyćmiony, pomieszczano go w skrzynce w odpowiednim położeniu i zapalano lampy elektryczne. P. Wace stawiał kwestye i poddawał obserwacye ku wyjaśnieniu niektórych punktów wątpliwych. Nic, poprostu mówiąc, nie mogło być mniej wizyjnego i ściślej pozytywnego.

Uwagę p. Cave rychło pociągnęły głównie owe istoty skrzydlate, które dostrzegał w tak znacznej liczbie w każdym ze swoich widzeń poprzednich. Pierwsze jego wrażenie wkrótce się przeistoczyło — i przez jakiś czas przypuszczał, że mogły one wyobrażać jakiś gatunek nietoperzy dziennych. Potem dość osobliwie sądził, że to cherubiny. Głowy ich były okrągłe i dziwnie człowiecze, i właśnie to oczy jednej z tych kreatur tak przeraziły go przy drugiej obserwacji. Twory te miały wielkie srebrzyste skrzydła, bez piór, lecz lśniące jak łuska rybia, z tym samym tęczowym refleksem; skrzydła te nie były zbudowane podług zwykłego typu skrzydeł ptaka lub nietoperza, ale oparte na krzywej błoncy, która promieniowała z wnętrza korpusu: — rodzaj skrzydeł motyli o zakrzywionych brzegach zdaje się ściślej wyjaśniać ich podobieństwo. Ciało było niewielkie, lecz tuż pod spodem zbrojne dwoma pękami organów chwytanych w rodzaju długich macek. Jakbądź niewiarogodnem zdało się to z początku panu Wace, ostatecznie jednak musiał przyjść niezłomnie do przekonania, że wielkie niby-ludzkie budowle i wspaniałe ogrody, które tak przepysznie zdobyły dolinę — należały do tych właśnie istot.

P. Cave zauważył wśród innych osobliwości, że budynki te nie

miały wrót, ale że wielkie okna w formie kół, otwierające się swobodnie, służyły tym istotom za wejście i wyjście. Istoty układały się na swych mackach, zwijały skrzydła do objętości trzciny i wskakiwały do środka. Śród nich było wiele innych stworzeń, już to niby wielkie jętki, już to ćmy, już żuki skrzydlate, a na murawach olbrzymie chrabąszcze bez skrzydeł, o świetnie tęczyowych barwach, wlokły się leniwie. Nadto na drogach bitych i na tarasach, kreatury o wielkich głowach, podobne do wielkoskrzydłych, lecz pozbawione lotek, podskakiwały z miną zafrasowaną na sieciach swoich macek.

Wspominało się już o świecących przedmiotach, które mieściły się na wysokich masztach — śród tarasu — przy najbliższym budynku. Pewnego razu, gdy w szczególnie jasnu dzień p. Cave przenikliwie jął badać jeden z tych masztów, odgadł, że świecący przedmiot na maszcie było to nie co innego, tylko jajo kryształowe, najdokładniej podobne do tego, jakie miał w rękę; bliższe badanie przekonało go, że każdy z tych masztów — a było ich w perspektywie koło dwudziestu — miał na szczycie taki sam przedmiot.

Od czasu do czasu jedna z wielkich istot latających — unosiła się do wysokości którego z tych jaj kryształowych, poczem, złożywszy skrzydła i oplótszy się mackami dokoła masztu, spoglądała utkwionem okiem w kryształ — co trwało nieraz dłużej nad 15 minut. Szereg obserwacji, jakie podsunął p. Wace, przekonały obudwu badaczy, że co się tyczy tego świata widzialnego, to kryształ, w który oni spoglądali, znajdował się w *rzeczywistości* na ostatnim maszcie tarasu — i że w pewnej okazyi przynajmniej jeden z mieszkańców tego innego świata badał twarz pana Cave, w czasie, gdy ten robił swoje obserwacje.

Musimy więc przyjąć jedną z dwóch hipotez: albo jajo kryształowe p. Cave znajdowało się naraz w dwóch światach, i gdy w jednym przenoszono je z miejsca na miejsce, w drugim spoczywało ono nieruchomie, co jest absurdem; albo miało ono jakiś szczególny związek sympatyczny z drugim jajem kryształowym, ściśle podobnym do jaja w drugim świecie, tak iż to co było widzialne we wnętrzu jednego kryształu, w tamtym świecie, — było również widzialne w pewnych warunkach obserwatorowi w odpowiednim kryształu na drugim świecie i *vice versa*.

Obecnie, prawdę mówiąc, nie wiemy nic o sposobie, w jaki dwa owoidy kryształowe mogą w ten sposób znajdować się w związku, ale dość w tym przedmiocie wiemy za naszych czasów, aby zrozumieć, że nie jest to absolutnie niemożliwe. Hipoteza ta o dwóch owoidach kryształowych, będących w związku sympatycznym — było to przypuszczenie

p. Wace — mnie przynajmniej zdaje się najzupełniej możliwą do przyjęcia.

Gdzie się znajdował ten drugi świat? I na tę kwestję również chyża inteligencja p. Wace potrafiła rzucić pewne światło. Po zachodzie słońca, tam niebo ciemniało bardzo szybko; w istocie nader krótka była chwila zmierzchu — i ukazywały się gwiazdy. Były to te same gwiazdy, które my widzimy, ułożone podług tych samych konstelacyj. P. Cave poznał Niedźwiedzicę, Plejady, Aldebarana, Syryusza, tak, iż ten drugi świat musiał się znajdować gdzieś w systemie słonecznym, i co najwyżej, o parę set milionów mil od naszego świata. Idąc za temi wskazówkami, p. Wace dowiedział się, że niebo nocne miało szafir ciemniejszy, niż nasze niebo zimowe, że słońce zdawało się tam nieco mniejsze — i że były tam dwa księżycy, podobne do naszego, ale mniejsze i odmienne w ruchu; jeden z nich wirował tak szybko, że jego ruch był jasno widzialny przy obserwacji. Księżycy te nie wschodziły nigdy wysoko na niebo, ale znikwały natychmiast po swoim wschodzie, to znaczy, że przy każdym obrocie ulegały zaćmieniu z powodu bliskości swej planety.

A wszystko to odpowiada absolutnie — chociaż p. Cave nic o tem nie wiedział — temu, czem muszą być warunki bytu na Marsie.

W istocie zdaje się to wniosek nieulegający zaprzeczeniu, że spoglądając w jajo kryształowe, p. Cave widział rzeczywiście planetę Marsa i jego mieszkańców. A jeżeli tak jest, to gwiazda wieczorna, która tak świetnie promieniała na niebie tej dalekiej wizyi, niczem innym nie była, tylko naszą swojską Ziemią.

Przez pewien czas Marsyianie — o ile to byli Marsyianie — zdawali się nie widzieć obserwacji p. Cave. Kilkakrotnie jeden z nich się zbliżał, ale zaraz prawie odlatywał, jakby nie znalazłszy dostatecznej wizyi. Pan Cave mógł zatem badać ruchy tych stworzeń skrzydlatych, nie niepokojony ich uwagą, a choć opisy jego z konieczności były niewyraźne i ułamkowe, mimo to są one bardzo suggestyjne. Wyobraźcie sobie wrażenie, jakieby o ludzkości wytworzył sobie obserwator marsyański, który po długim okresie trudnych przygotowań i ze znacznem znużeniem oczu, przychodziłby badać Londyn z wysokości dzwonnicy kościoła świętego Marcina, w przeciągu co najwyżej czterominutowych okresów czasu za każdym razem.

P. Cave nie mógł twierdzić, czy Marsyianie skrzydlaci byli to ci sami, co Marsyianie skaczący po gościńcach i tarasach — i czy ci ostatni mogli dowolnie rozpinać skrzydła. Kilka razy widział on pewną liczbę

istot dwunogich, ciężkich i bezdarnych, które zlekka przypominały małpy; twory te, o białawem półprzezroczystem cieple, pasły się na łąkach lizających. Raz kilka z nich poczęło uciekać przed jednym z Marsyan skaczących, o głowie okrągłej; ów pochwycił jedno z tych dwunogich stworzeń w zwoje swych tentakuł, ale w tej chwili widok zniknął, pozostawiając p. Cave w mroku a spragnionego szerszej wiedzy. Innym razem, jakiś przedmiot ogromny, który p. Cave początkowo uważał za przeolbrzymiego owada, zjawił się naraz i wzdłuż drogi nad kanałem przeleciał z błyskawiczną szybkością. Gdy zbliżył się, p. Cave poznał, że był to mechanizm z błyszczącego metalu, nadzwyczajnej złożoności. Gdy go później znów chciał badać, zniknął mu już z oczu.

Wkrótce p. Wace zapłonął ambycją, by zwrócić na siebie uwagę Marsyan — i poraz pierwszy, gdy dziwne oczy jednego z nich ukazały się wobec jaja kryształowego, p. Cave zaczął wydawać okrzyki, zrobił skok w tył — i, natychmiast zapaliwszy w pokoju światło elektryczne, zaczęli gestykulować w taki sposób, aby poddać myśl sygnałów. Ale gdy pan Cave obrócił kryształ ponownie, Marsyanin już zniknął.

Obserwacje te prowadzono w ciągu pierwszej połowy listopada i p. Cave, przypuszczając, w tej epoce, że podejrzenia rodziny co do jaja kryształowego już ucichły, zdecydował się zanieść je ze sobą, aby, gdy mu się zdarzy sposobność, mógł we dnie czy w nocy rozkoszować się tem, co się naraz stało najrzeczywistym przedmiotem jego istnienia. W grudniu, praca p. Wace, skutkiem blizkiego egzaminu, była bardzo natężona i pochłaniała go całkowicie; posiedzenia — mimowoli — zostały przerwane — i w ciągu dziesięciu lub jedenastu dni — (p. Wace nie może określić dokładnie) — nie widział on p. Cave. Wówczas zaczął się niepokoić, a ponieważ trudność jego prac się zmniejszyła — ruszył w stronę „Siedmiu Zegarów“. Na rogu ulicy zauważył wystawę ptasznika i budkę szewca-łaciarza. Sklep p. Cave był zamknięty.

Zapukał — drzwi mu otworzył pasierb, w żalobnem ubraniu; natychmiast poproszono panią Cave, która, czego nie mógł nie widzieć p. Wace, była owinięta w gęste zasłony wdowieństwa podług wzorów najlepszych i najtańszych. Bez wielkiego zdumienia, p. Wace się dowiedział, że p. Cave już umarł i pogrzebion. Wdowa była nieutulona w żalu i mówiła boleściwym głosem. Właśnie wracała z Highgate. Umysł jej był zajęty projektami przyszłości i czcigodnymi okolicznościami pogrzebu, ale p. Wace mógł tymczasowo się dowiedzieć szczegółów o śmierci p. Cave. Znalaziono go w sklepie — o wczesnej godzinie — nazajutrz po owym dniu, w którym poraz ostatni był u p. Wace; — leżał martwy, a je-

go zimne, kurczowo zwarte ręce silnie ścisnęły jajo kryształowe. Twarz miał uśmiechniętą, dodała p. Cave, a kawałek czarnego aksamitu leżał u jego nóg na podłodze. Był on już co najmniej od pięciu—sześciu godzin umarły, gdy go znaleziono.

Więść ta była niesłychanie przykra dla p. Wace — i gorzkie czynił sobie wyrzuty, że nie zwrócił uwagi na widoczne symptomy choroby starca. Głównie jednak niepokoił się o kryształ. Uczynił kilka delikatnych aluzji w tym przedmiocie, gdyż znał manję pani Cave, i z osłupieniem dowiedział się, że go sprzedano.

Pierwszą myślą pani Cave, skoro tylko wniesiono do jej pokoju martwe ciało męża, było napisać do tego szaleńca clergymana, który tak wielką sumę ofiarował za kryształ, chciała go bowiem powiadomić o odnalezieniu zguby. Ale po gwałtownych poszukiwaniach, w których jej dopomagała córka, musiała dojść do przekonania, że adres na szczętę zaginął. Ponieważ nie miała środków dostatecznych, by opłakać i pochować p. Cave z całą wystawą, jakiej wymaga godność starego mieszkańca dzielnicy „Siedmiu Zegarów“, zwróciła się do innego naturalisty. Zgodził się on, po odpowiednim ocenieniu, przyjąć pewną część towarów. Ocenę robił sam, a jajo kryształowe stanowiło jeden z przedmiotów sprzedaży. P. Wace wyraziwszy kilka stosownych kondolencyj, może nieco zbyt pospiesznie wyszedł, by co rychlej zobaczyć się z naturalistą. Ale tu dowiedział się, że jajo kryształowe zostało już sprzedane; kupił je jakiś duży pan, czarnowłosy, w popielatym ubraniu.

Tu się nagle kończą fakty materialne tej ciekawej i przynajmniej dla mnie sugestyjnej historii. Naturalista nie miał pojęcia, kto był ów duży pan, brunet, gdyż nie patrzył nań zbyt uważnie—i żadnych szczegółów dać o nim nie mógł. Nie wiedział nawet, w którą stronę poszedł jego klient, opuściwszy sklep. Przez jakiś czas p. Wace, jakby próbował cierpliwości kupca—dreczył go rozpaczliwymi pytaniami, puszczając wodze swojej własnej rozpacz. W końcu, zdecydowawszy, że cała rzecz wyslizgnęła mu się z rąk i zniknęła niby wizja w cieniu, wrócił do siebie—i ze zdumieniem znalazł poczynione przez siebie noty, jeszcze widzialne i dotykalne, na zarzuconym różnemi papierami stole.

Strapienie jego i przykrość były naturalnie bardzo wielkie. Drugi raz jeszcze, równie bez skutku, był u handlarza; potem próbował ogłosić w czasopiśmie, które mogły prawdopodobnie wpadć w ręce kolekcjonerów różnych osobliwości. Pisał też listy do „Daily Chronicle“ i „Nature“, ale oba te dzienniki, przypuszczając mistyfikację, prosiły go przed wydrukowaniem, aby się namyślił nad tem, co czyni, a nawet da-

no mu do zrozumienia, że taka dziwaczna historia mogłaby cień rzucić na jego reputację naukową. Zresztą, wymagania jego własnych prac stały się surowsze; tak iż po kilku tygodniach, "prócz przypadkowych wizyt u niektórych handlarzy, musiał on wbrew woli zarzucić poszukiwanie jaja kryształowego — i od tego dnia owoid jest niemożliwy do odnalezienia. Niekiedy jednak opowiada mi — i wierzę łatwo, że miewa ataki prawdziwego szaleństwa, pod wpływem którego opuszcza swe zajęcia zawodowe i nanowo rozpoczyna poszukiwania.

Czy kryształ zaginął czy nie zaginął na zawsze, jego istota i pochodzenie stanowią dziś przedmiot w każdym razie godny zastanowienia. Gdyby go nabył jaki zbieracz, możnaby przypuszczać, że poszukiwania p. Wace doszły do wiadomości nabywcy za pośrednictwem kupców. Pan Wace jednakże zdołał odnaleźć clergymana i człowieka wschodu — którzy byli u p. Cave — a był to nikt inny, jeno wielebny James Parker i ksiązę Bosso Kuni z Jawy. Zawdzięczam im niektóre szczegóły tej historii. Ksiązę kierował się przy kupnie tylko prostą ciekawością — i uporem, Pragnął on kupić kryształ dlatego, że p. Cave nie chciał go sprzedać. Jest też bardzo prawdopodobne, że drugi nabywca był tylko amatorem, przypadkowym, bynajmniej zaś nie kolekcjonerem — i że jajo kryształowe, o ile można przypuszczać, znajduje się teraz o kilkaset metrów od miejsca, w którym ja piszę — i że ozdabia jakiś banalny salon albo służy za przycisk do papieru — i zapewne jego szczególne własności są nieznanne obecnemu posiadaczowi. To też, częściowo z myślą o takiej możliwości opowiedziałem tę historię w formie, która pozwoli ją czytać zwykłemu czytelnikowi, jako rzecz całkiem naturalną.

Moje osobiste rozumienie tej sprawy jest praktycznie takie same jak, zdanie p. Wace. Sądzę, że owoid kryształowy na maszcie — na planecie Marsa — i kryształ p. Cave znajdują się w jakimś stosunku fizycznym, dotąd absolutnie niewyjaśnionym; nadto, wierzymy obaj, że kryształ ziemski musiał być — niewątpliwie, w jakiejś epoce może bardzo dalekiej, — zostać zesłany z tej planety na ziemię, aby pozwolić Marsyanom oglądać nasze stosunki. Może też być, że podobne owoidy kryształowe, stanowiące odpowiedniki owoidów z innych masztów — znajdują się rozproszone na naszym globie. W każdym razie żadna hipoteza halucynacyi wyjaśnić nie może tych faktów — i musi być zgoła odrzucona.

Człowiek, który mógł robić cuda.

Nie jest pewne, czy ten dar był mu wrodzonym. Co do mnie, to sądzę, że zjawił mu się niespodzianie. Trzeba dodać, że do trzydziestego roku życia był on sceptykiem i nie wierzył w potęgi cudowne. Tu — ponieważ miejsce jest całe wskazane — muszę powiedzieć, że był to człowiek małego wzrostu, oczy miał czarne świecące, czuprynę rudą szczerokowatą, wąsy duże i piegi na twarzy. Nazywał się George Mac Whirter Fotheringay — nazwisko, które żadną miarą myśli o cudach nie podsusza — i był urzędnikiem w firmie Gomshoff. Nader wyrobiony w argumentacji słownej, właśnie gdy dowodził niemożliwości cudów, otrzymał pierwszą wskazówkę o swej mocy nadzwyczajnej.

Szczególne ta rozprawa odbywała się w szynkowni „Long Dragon“ a Toddy Beamish stawiał mu opozycję, bezustanku powtarzając te same słowa: „To tylko pańskie zdanie“ — czem ostatecznie zaczął wyprowadzać z cierpliwości p. Fotheringay'a.

Był tam nadto pewien cyklista, strasznie zakurzony, był oberżysta Cox i panna Maybridge, wielce czcigodna i korpulentna służąca baru „Long Dragon“. Panna Maybridge myła szklanki, odwróciwszy się tyłem do p. Fotheringay; inni słuchali mówcy, mniej lub więcej uśmiechając się wobec bezpłodności jego metody dowodzenia. Podniecany taktyką p. Beamish, p. Fotheringay postanowił użyć nadzwyczajnego w retoryce wysiłku.

— Uważaj, p. Beamish — rzekł — zrozumiejmyż, co to jest cud. Jest to coś przeciwnego prawom natury, coś co się spełnia przez natężoną siłę woli, coś, co by się nie stało, gdybyś tego wyłącznie nie pragnał.

— To *pańskie* zdanie — rzekł p. Beamish.

P. Fotheringay wziął za świadka cyklistę, który dotąd milczał — i uzyskał jego zgodę, po wahającym kaszlu i spojrzeniu w stronę p. Bea-

mish. Oberżysta nie chciał wypowiedzieć żadnego zdania, i p. Fotheringay, wracając do p. Beamish, otrzymał od niego niespodziane i pobłażliwe ustępstwo na korzyść swego określenia cudu.

— Naprzykład — mówił p. Fotheringay, wielce pobudzony — to byłby cud: ta lampa, w naturalnym biegu rzeczy, odwrócona do góry nogami nie mogłaby się palić, czy nie prawda, panie Beamish?

— *Pan mówi*, że nie mogłaby -- odparł Beamish.

— A pan? -- zapytał Fotheringay... Przecież nie będzie pan dowodził, że... tego... he...

— Nie — odpowiedział uparty Beamish — nie mogłaby.

— Bardzo dobrze — ciągnął Fotheringay — więc ktoś przychodzi tu, jak naprzykład ja, niby tak, staje, nieprzymierzając, na tem miejscu i mówi do tej lampy, jak to ja mógłbym zrobić, zbierając wszystkie siły mej woli: przewróć się do góry nogami, nie upadając na ziemię i pal się dalej i... Do dyabła!

Było to dość do wywołania dyabła. Rzecz niemożliwa, niewiarogodna stała się widzialną dla wszystkich. Lampa odwrócona podstawą do góry a szkłem nadół, zawisała w powietrzu, i paliła się spokojnie, mając płomień skierowany ku podłodze. Była też ona ciężka i masywna, tak jak żadna lampa, — ta prozaiczna i ordynarna lampa z baru „Long Dragon“.

P. Fotheringay stał z palcem wyciągniętym naprzód i zmarszczone mi brwiami, jak ktoś, co przewiduje jakiś chwilowy zgiełk. Cyklista, który siedział prawie pod lampą, zgiął się i uciekł po za kontuar. Wszyscy podskoczyli, mniej albo więcej, a miss Maybridge odwróciła się i krzyknęła z trwogi. Przez jakieś trzy sekundy lampa tak wisiała. Słaby okrzyk omdlenia duchowego wydał naraz p. Fotheringay.

— Nie mogę już dłużej trzymać tej lampy w powietrzu!... Cofnął się chwiejnie, a lampa odwrócona naraz się zachwiała, padła na brzeg kontuaru, skoczyła w bok, upadła na podłogę i zagasła. Szczęściem rezerwoar jej był metalowy, inaczej cały dom ogarnąłby pożar.

P. Cox pierwszy przemówił, a jego uwaga, pozbawiona wszelkich bezużytecznych omówień, była ta, że p. Fotheringay jest dureń. Ten zaś nie był w stanie rozważyć nawet tak zasadniczego twierdzenia, jak to ostatnie. Był on w całym znaczeniu tego słowa zgnębiony tem, co się stało. Rozmowa, która potem nastąpiła, nic a nic nie wyjaśniła sprawy; przynajmniej co się tyczy Fotheringay'a, to ogół poszedł za p. Coxem, nie tylko jednogłośnie, ale z pewną zawziętością. Wszyscy oskarżali Fotheringaya o jakiś głupi figiel, dodając, że w sposób błazeński zakłócił

spokój i komfort porządnych obywateli. Co do niego, to w jego umyśle huczał wielki wicher niepokoju: niespodziewany cudotwórca skłonny był przystać do ogólnego zdania o sobie—i bezowocnie starał się oprzeć propozycji, jaką mu zrobiono, by poszedł sobie precz.

Wrócił do domu, czerwony i wzburzony, z podniesionym kołnierzem ubrania, z oczami płonącymi, uszami gorejącymi.

Po drodze nerwowo śledził wszystkie dziesięć latarni gazowych, które spotkał na ulicy; i dopiero wówczas, gdy się znalazł sam w swym małym pokoiku przy ulicy Kościelnej—dopiero wówczas był w stanie zebrać poważnie wspomnienia całego wypadku i zapytać samego siebie, co to się stało?

Zdjął surdut i kamasze—i siedział na brzegu łóżka, z rękami w kieszeni, powtarzając poraz siedemnasty, słowa swej własnej obrony: ale ja nie miałem zamiaru wyrzucić tej lampy. Wówczas przypomniał sobie, że w określonej chwili, gdy wymawiał słowa swego rozkazu, *chciał* tego, o czym mówił, i gdy widział lampę zawieszoną w powietrzu, czuł, że od niego zależało utrzymać ją w tej pozycji, choć nie mógł zrozumieć, dlaczego. Umysł jego nie był zbyt złożony; gdyby nie to, mógłby był na chwilę zastanowić się nad tem *chciał mimowoli*, ogarniając w ten sposób najbardziej oderwane pytania, dotyczące działania woli; ale z tego całego zjawiska zdawał sobie sprawę tylko w sposób bardzo mglisty i niewyraźny. A przeto, idąc, jak należy przypuszczać, drogą niejasno logiczną, doszedł on do dowodu przez doświadczenie.

Wyciągnął rezolutnie palec ku świecy i zebrał wszystkie siły ducha, wiedząc doskonale, że popełni czyn głupi: podnieś się!—rzekł, ale po sekundzie jego woła omdlała. Świeca się podniosła—i jedno okamgnienie wisiała w powietrzu, a gdy p. Fotheringay konwulsyjnie otworzył usta, upadła z hałasem na stolik nocny, pozostawiając go w zupełnej ciemności, prócz nikłej czerwieni knota.

Chwilę p. Fotheringay siedział w ciemności, zupełnie nieruchomy.

— Ostatecznie, stało się—rzekł—ale jak to wytłumaczyć, nie wiem.

Westchnął głęboko i zaczął szukać w kieszeni zapalek. Nie znalazł, zatem wstał i po omacku szukał ich na stoliku.

— Chciałbym mieć zapalną—rzekł.

Szukał w surducie, ale i tam nie było; wtedy mu przyszło do głowy, że cuda możliwe są i z zapalnikami. Wyciągnął rękę i, marszcząc brwi w ciemności, rozkazał:

— Niechaj zapalnik wpadnie mi do ręki.

Uczuł naraz jakiś lekki przedmiot, dotykający jego dłoni, a palce zamknęły się nad zapalką.

Napróżno jednak starał się zapalić—i przekonał się, że była to zapalka szwedzka. Rzucił ją na stolik i przyszło mu do głowy, że mógłby zażądać odrazu zapalki z płomieniem. Chciał i ujrzał ją natychmiast, jak się zapalała na pokryciu tualety. Podniósł ją żywo, lecz zapalka zgasła. Świadomość jego mocy urosła — i, po omacku, znów pomieścił świecę w lichtarzu.

— Dalej, zapal się, świeco! — rzekł p. Fotheringay — świeca natychmiast zajaśniała a cudotwórca ujrzał dziurkę na pokryciu swej tualety i około niej maleńki dymek. Chwilowo oczy jego przechodziły od dymku do płomienia, poczem ujrzał własny obraz w lustrze. Tym sposobem pewien czas sam ze sobą rozmawiał w milczeniu.

— Cóż ty myślisz o cudach? — rzekł nareszcie Fotheringay, zwracając się do swego własnego odbicia.

Jego następne rozmyślenia były w rodzaju bardzo poważnym, lecz pogmatwane. O ile mógł sobie zdać z tego sprawę, była to rzecz zależna bezwzględnie od czystej woli. Natura jego doświadczeń dotychczasowych mało go skłaniała do robienia nowych, przynajmniej zanim ich nie zbadał na nowo. Jednakże wzrokiem podniósł arkusz papieru, ubarwił szklanekę wody na różowo, a potem na zielono; stworzył ślimaka, którego nie mniej cudownie unicestwił i zrobił sobie podarunek z nie mniej cudownej szczoteczki do zębów. W połowie nocy zaczął się domyślać, że jego siła musi mieć cechy szczególnie rzadkie i zajmujące, o czym już miał niejasne pojęcie, lecz żadnej pewności zupełnej. Przeżalenie i trwoga, jakie w nim się obudziły pod wpływem pierwszych odkryć, osłabły teraz wobec dumy, że to iście osobliwa potęga i wobec mglistych przeczuc jej użyteczności. Słyszał, jak biła godzina pierwsza na wieży kościelnej, a ponieważ mu nie przyszło do głowy, że jego zajęcia codzienne mogły być również cudownie wykonane, dalej się rozbiierał, aby już bez odwołki znaleźć się w łóżku. Gdy zdejmował koszulę, błysła mu naraz świetna myśl.

— Chcę być w łóżku — rzekł — i był w łóżku. — Rozebrany — dodał — a czując, że prześcieradło jest zimne — zawołał jeszcze — w koszuli nocnej — nie — w pięknej koszuli nocnej z najlepszej flaneli. Ah! — dodał z nadzwyczajną rozkoszą. A teraz niechaj usnę należycie!

Obudził się o zwykłej godzinie i był zamyślony przez całe śniadanie, pytając się, czy przypadkiem jego doświadczenia nie były tylko po prostu marzeniem szczególnie żywym. W końcu postanowił robić prze-

zorne doświadczenia. Naprzykład miał trzy jajka na śniadanie: dwa przyniosła mu gospodyni, dobre zapewne, lecz nie pierwszej świeżości, a trzecie, doskonale jajo gęsie, świeżo zniesione, ugotowane i na stół podane jego własną nadprzyrodzoną mocą. Pospiesznie ruszył do biura, w stanie wzburzenia głębokiego, lecz miarkowanego starannie—i przypomniał sobie o trzecim jajku dopiero wówczas, gdy gospodyni wieczorem mówić mu zaczęła o skorupie. Przez cały dzień nie mógł nic robić z przyczyny tej nowej i zdumiewającej potęgi, jaką w sobie poznał, ale nie sprawiło mu to żadnej przykrości, gdyż w ciągu ostatnich dziesięciu minut w nadprzyrodzony sposób powetował stracony czas.

W miarę, jak dzień się chylił ku zmierzchowi, stan jego ducha przelewał się z podziwu w egzaltację, chociaż—dodać trzeba—okoliczności wyjścia z baru „Long Dragon“ nie były przyjemne we wspomnieniu, a pewna sfalszowana wersja o nich doszła do jego kolegów, co wywołało wśród nich żarciki. Było widoczne, że przy podnoszeniu rzeczy kruchych, trzeba więcej przezorności, ale pozatem dar jego zapowiadał mu coraz więcej rozkoszy w miarę, jak o nim rozmyślał. Zamierzał między innymi powiększyć swoje dobra osobiste zapomocą skromnych aktów stworzenia. Wywołał do bytu parę wspaniałych brylantowych spinek do mankietów i zniweczył je natychmiast, widząc, że syn dyrektora wszedł do sali i właśnie idzie do jego biurka. Lękał się, by młody człowiek nie spytał go, jaką drogą te spinki stały się jego własnością. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dla uprawiania tego daru, trzeba było wiele ostrożności i czujności, ale, o ile sądzić można, nie były to przeszkody większe od trudności, jakie przewyciężyć musiał przy nauce jazdy na bicyklu, aby ją opanować dokładnie. Być może, że ta właśnie analogia, jak niemniej i wspomnienie przykrości doznanej w „Long Dragon“, pociągnęły go po obiedzie—na małą pustą uliczkę poza gazownią, by tam w odosobnieniu powtórzyć niektóre cuda.

Był zapewne w jego próbach brak oryginalności, gdyż pomijając siłę chcenia, p. Fotheringay nie był człowiekiem zbyt wyjątkowym. Cud laski Mojżesza przyszedł mu na pamięć, ale wieczór był ciemny i mało sprzyjał oswojeniu wielkich węzów cudownych. Wówczas przypomniał sobie historię Tannhäusera, którą czytał na drugiej stronie programu koncertów filharmonijnych. Zdało mu się to osobliwie pociągające i nieszkodliwe. Zagłębił laskę w trawę u brzegu ścieżki i kazał jej zakwitnąć. Powietrze napełniło się natychmiast balsamicznym zapachem róż, a przy świetle zapalki na własne oczy zobaczył, że ten świetny cud rzeczywiście się spełnił. Zadowolenie jego naruszył odgłos zbliżających

się kroków. Przerażony, że jego siła niewczesnie może być odkryta, zawołał naraz do kwitnącej laski: idź sobie! co podług niego miało znaczyć: stań się nanowo laską, ale był bardzo zmieszany. Laska cofnęła się ze znaczną szybkością—i natychmiast dał się słyszeć okrzyk gniewu i grube słowa nadchodzącej osoby.

— Na kogoż to rzucasz kije, durniu! — zawołał głos. — Potłukłeś mi nogi.

— Żałuję bardzo, mój stary — odparł p. Fotheringay — i zrozumiał dopiero niefortunny sposób swego tłómaczenia i zaczął nerwowo kręcić wąsa, gdy zobaczył zbliżającego się Wincha, jednego z trzech agentów policyi w Immering.

— Co pan mówi? — zapytał agent. — Patrzcie, to pan, tak, to pan potłukł lampę pod „Long Dragon“.

— Nie mówię nic, nic a nic — bełkotał p. Fotheringay.

— Czemuż pan rzuca kijami w przechodzących? Co to znaczy?

— Ach to męczące — protestował p. Fotheringay.

— Myślę, że to męczące! Czy nie wie pan, że kije bołą? Czemu pan je rzuca?

Chwilowo, p. Fotheringay miał przykrą trudność wyjaśnienia, dlaczego to zrobił. Milczenie jego zdawało się drażnić Wincha.

— Obraziłeś policyę, młodzieńcze — oto coś uczynił.

— Słuchaj, panie Winch — błagał Fotheringay, zmartwiony i zmieszany — bardzo żałuję. Sprawa jest taka, że...

— Że co?

Nie umiał nic wymyślić oprócz prawdy.

— Robiłem cud...

Starał się wypowiedzieć te słowa, jakby niedbale, ale jakkolwiek się starał, nie udało mu się.

— Robiłem cud!... Dalej, nie gadaj pan głupstw. Robić cud! Ale wszyscy wiedzą, że pan nie wierzy w cuda! Fakt jest, że to musi być jeden, z twoich głupich kawałów czarodziejskich, oto co jest. Teraz będziemy...

Ale p. Fotheringay nigdy nie wiedział, co mu chciał rzec p. Winch. Zrozumiał tylko, że zdradził swoją drogocenną tajemnicę, że ją rzucił na cztery wiatry. Gwałtowny napad gniewu pobudził go do działania. Żywo i z wściekłością zwrócił się do agenta policyi.

— Dość już mam tego, rozumiesz pan! Pokażę panu jeden z moich głupich kawałów czarnoksiężkich, rozumiesz pan? Idź do dyabła! Idź, co prędzej.

Pozostał sam.

Fotheryngay nie uczynił tej nocy żadnego innego cudu i nie troszczył się o to, co się stało z jego kwitnącą laską. Wrócił zaraz do miasta — i pełny spokojnego podziwu, poszedł do siebie.

— Panie! myślał — to dar potężny, to dar nadzwyczaj potężny... Nie miałem zamiaru korzystać z niego w ten sposób, nie miałem istotnie... Ciekaw jestem, jak to może być tam w piekle?

Siadł u brzegu łóżka, by zdjąć kamaszki. Nagle przyszła mu szczęśliwa myśl, przerzucił ajenta policyi do San-Francisco i już nie naruszając normalnych zjawisk, rozsądnie położył się do łóżka. W nocy, śnił mu się Winch rozgniewany.

Nazajutrz, p. Fotheringay dowiedział się dwóch ciekawych nowin. Ktoś zasadził piękny krzak pnącej się róży pod murem domu p. Gomshott, a nadto musiano przekopać rzekę aż do młyna w poszukiwaniu ajenta p. Wincha.

Przez cały ten dzień p. Fotheringay był roztargniony i zadumany nie zrobił żadnego cudu, również jak i dnia następnego, wyjąwszy przesyłkę trochę żywności dla Wincha, a nadto robotę swoją w biurze wykonał z najwyższą ścisłością, pomimo, że w głowie huczały mu myśli aż do ogłuszenia. Wiele osób dostrzegło jego niezwykle roztargnienie i miękkość zachowania, co spowodowało liczne żarty. Najwięcej myślał o Winchu.

W niedzielę wieczorem poszedł do kościoła, gdzie — szczególna rzecz! — p. Maydig, clergyman, który się interesował nieco nauką tajemną, kazał „o zakusach niepozwolonych“.

P. Fotheringay nie był zbyt akuratnym parafianinem, ale jego system twierdzącego sceptycyzmu, o którym już wspominaliśmy, był teraz wielce zachwiany. Treść kazania rzuciła światło zupełnie nowe na jego świeże dary i nagle postanowił iść i rozmówić się z p. Maydygiem po nabożeństwie. Skoro się zdecydował, sam siebie pytał ze zdumieniem, dlaczego mu wcześniej nie przyszła ta myśl do głowy.

P. Maydig, człowiek chudy i nerwowy, mający długą szyję i długie ręce, był mile wzruszony żądaniem rozmowy prywatnej ze strony młodzieńca, którego obojętność w rzeczach religijnych była zgorszeniem dla całego miasta. Po krótkiej zwłoce, zaprowadził go do swego gabinetu w presbyteryum, w sąsiedztwie kaplicy, posadził go na wygodnym fotelu — i stojąc przed wesołym ogniem kominka — prosił p. Fotheringay'a, aby mu wyłożył cel swej wizyty.

Z początku p. Fotheringay był nieco zmięszany i nie wiedział, jak rozpocząć przemowę.

— Pan może mi nie zechce wierzyć p. Maydig, ja się boję... i tak dalej przez pewien czas.

W końcu postawił kwestyę i zapytał, co p. Maydig myśli o cudach.

P. Maydig—mówił jeszcze:

— A więc? — tonem dość wyrozumiałym, gdy p. Fotheringay mu przerwał.

— Nie uwierzy pan, jak sędzę, żeby człowiek na stanowisku podrzędnym, jak ja, na przykład, siedzący teraz oto w tym fotelu — mógł posiadać w sobie rodzaj tajemniczej potęgi, która mu pozwala czynić rzeczy nadzwyczajne jedynie za pomocą woli.

— To możliwe — rzekł p. Maydig. Są w tym rodzaju rzeczy możliwe.

— Jeżeli mi pan pozwoli użyć swobodnie jakiego przedmiotu z tego pokoju, to zdaje mi się, że mu potrafię tego dowieść doświadczalnie. Weźmy, na przykład, tę skrzynkę tytoniu. Chciałbym wiedzieć, czy to co ja z nią zrobię, jest cudem czy nie. Pozwól mi jej na chwilę, p. Maydig, proszę bardzo.

Zmarszczył brew, wyciągnął rękę ku skrzynce z tytoniem i rzekł:

— Stań się wazonem fijołków.

Skrzynka tytoniu w jednej chwili stała się tem, czego żądał cudotwórca.

P. Maydig podskoczył gwałtownie na widok tej przemiany a spojrzenie jego błędziło chwilowo od gościa do wazonu. Nie mógł słowa powiedzieć. Nagle zdecydował się, podszedł do stołu, nachylił się i powąchał kwiaty. Były one świeżo zerwane i bardzo piękne. Potem ze zdumieniem patrzył na p. Fotheringay'a.

— Jak pan to zrobił? — pytał.

P. Fotheringay zaczął kręcić wąsa.

— Rozkazałem... i oto... Czy to cud — czy czarna magia — czy co? Cóż pan sądzisz, jest we mnie? Oto co chciałbym wiedzieć.

— Jest to wypadek nadzwyczajny.

— Tydzień temu jeszcze nie wiedziałem wcale — tak jak i pan, że mogę robić takie rzeczy. Jest coś osobliwego w mojej woli, jak przypuszczam — i to wszystko co w tem widzę.

— Czy to jedyna rzecz? Czy możesz pan zrobić jeszcze coś innego?

— Ależ tak, pani!—zawołał Fotheringay. Wszystko co zechcę.
Zamyślił się i przypomniał sobie seans prestidigitatorski, na którym był przed rokiem.

— Uważajcie — rzekł, wyciągając rękę — zmień się w szklany kloz dla ryb... nie, nie to... zmień się w akwaryum pełne wody ze złotymi rybkami; to lepsze. Czyś widział p. Maydiga?

— To zdumiewające, to nieprawdopodobne! Albo pan jesteś najosobliwszy z... Ale nie...

— Mogę to zmienić w co zechcę—powiedział p. Fotheringay—w co zechcę... O, stań się gołębiem, dalej!

W tej samej chwili siny gołąb zaczął fruwać po pokoju, zmuszając p. Maydiga, by się schylał za każdym jego zbliżeniem.

— Zatrzymaj się—i gołąb stanął nieruchomo w powietrzu.

— Mogę go zmienić nanowo w wazon kwiatów—rzekł.

Pomiściwszy gołębia na stole, wykonał zapowiedziany cud.

— Możeby pan chciał teraz zapalić fajkę?

i nanowo przywrócił skrzynkę z tytuniem.

P. Maydig śledził wszystkie te ostatnie zmiany z rodzajem zadyszanego milczenia. Bojaźliwie patrzył na p. Fotheringay'a, bardzo delikatnie wziął w rękę skrzynkę z tytuniem, sprawdził jej tożsamość — i postawił na stole.

— No, no! było to jedyne wyrażenie, jakie znalazł dla swych uczuć.

— Teraz nic łatwiejszego, jak wyjaśnić panu, dlaczego tu przyjechałem.

Zaczął tedy długą i skomplikowaną opowieść swoich dziwnych doświadczeń, zaczynając od historii lampy pod „Long Dragon“ — i kłopotliwie wspominając przygodę z Winchem. Gdy opowiadał swe dzieje, chwilowa duma wywołana trwogą p. Maydiga zniknęła i stał się znów pospolitym p. Fotheringay, jakim był w życiu codziennym. P. Maydig słuchał uważnie i twarz jego zmieniała się stosownie do momentów opowieści. Nagle, właśnie gdy p. Fotheringay opowiadał mu cud trzeciego jajka, clergyman mu przerwał szybkim ruchem ręki.

— To możliwe — rzekł — to nieprawdopodobne! To zdumiewające istotnie, ale to godzi wielką liczbę nadzwyczajnych trudności. Władza dokonywania cudów jest to dar, cecha wyjątkowa jak geniusz albo wzrok podwójny. Aż do dziś spotykano go rzadko i u ludzi wyjątkowych. Ale w tym wypadku... Zawsze dziwiłem się cudom Mahometa—cudom Yoghisów i pani Bławatskiej, to rzecz prosta, nie prawdaż? Tak, to popro-

stu dar nadprzyrodzony. I to znakomicie wzmacnia argumenty tego wielkiego myśliciela — (i tu głos p. Maydiga był jakby cały w ukłonach) Jego Wysokości księcia d'Argyla. Tu jesteśmy wobec jakiegoś prawa głębszego, niż prawo natury. Tak, tak, mów pan dalej! mów pan dalej!

P. Fotheringay zaczął opowiadać swą przygodę z Winchem, a pan Maydig, który już nie był onieśmielony ani zatrwożony, zaczął nogami wstrząsać na prawo i na lewo i wydawał okrzyki zdumienia.

— To właśnie najbardziej mnie niepokoiło — mówił dalej p. Fotheringay — i dlatego potrzebna mi była natychmiastowa rada. Niewątpliwie jest on w San-Francisco, ale oczywiście jest to przykre dla nas obu, jak to pan zauważy, panie Maydig. Nie wyobrażam sobie, jak on rozumie to, co się stało; zapewne jest przerażony i zrozpaczony — i chce mnie odnaleźć. Bardzo być może, że ciągle w drogę wyrusza, aby tu powrócić; ale ja powracam go na miejsce zapomocą cudu, gdy myślę o nim, od czasu do czasu. I naturalnie jest to rzecz, której on nie rozumie i to go dręczy; oczywiście, jeżeli za każdym razem kupuje bilet kolei żelaznej, kosztowało go to już niemały grosz. Robiłem wszystko co mogłem dla niego, ale naturalnie trudno mu się pomieścić na moim miejscu. Rozważyłem, skoro jego ubranie splomieniło się i zniszczyło... zanim go ztamtąd wydobyłem... pan wie, czy piekło jest takie, jak mówią... W tym wypadku przypuszczam, że musieli go w San-Francisco wtrącić do więzienia. Naturalnie, zapragnąłem, aby miał na sobie nowy mundur, skoro tylko o tem pomyślałem. Ale widzi pan, jestem w położeniu ogromnie kłopotliwym...

P. Maydig poważnie się zastanawiał nad tą sprawą.

— Widzę, że pan jest w kłopotcie. Położenie trudne. Jakżeby z tego wyjść...

I nic wyraźnego nie mógł powiedzieć.

— Cokolwiek bądź, dajmy pokój Winchowi — i zbadajmy sprawę najważniejszą. Nie myślę aby to była czarna magia lub coś podobnego. Nie zdaje mi się, aby w tem był cień intencji zbrodniczej, panie Fotheringay... najmniejszy cień, chyba żebyś niweczył fakty materialne. Nie, to są cuda — czyste cuda — cuda, że tak powiem, w najrzadszym gatunku.

Chodził tam i z powrotem, przed kominkiem, gestykulując, gdy p. Fotheringay siedział na fotelu, oparłszy łokieć na stole a głowę na dłoni i zdawał się bardzo zafrasowany.

— Mając taki dar cudów, dar, oczywiście potężny — mówił p. Maydig — znajdziemy sposób, by odkryć Wincha — nie lękaj się pan... Drogi panie, jesteś osobą ważną, zdolną do możliwości najdziwaczniejszych, o-

czywistość to potwierdza; nadto, rzeczy które możesz robić...

— Tak, myślałem o kilku rzeczach, ale one się nie ukazują tak jakoś na opak... Widział pan — tylko co rybę... Falszywy rodzaj basenu, fałszywy rodzaj ryby... A ja sądziłem, że wyraźnie określił, czego chciałem...

— To naturalne — rzekł clergyman — naturalne, bardzo naturalne. Zatrzymał się i patrzył na Fotheringay'a.

— Jest to dar praktycznie nieograniczony. Wypróbujmy tę władzę pańską, o ile można. Jeżeli ona istnieje rzeczywiście... jeżeli jest rzeczywiście tem, czem się być zdaje...

I jakkolwiek zdawać się to może nieprawdopodobnem, w gabinecie presbyterium „Congregational Chapel“ wieczorem w niedzielę 10 Listopada 1896 r. p. Fotheringay pod natchnieniem i kierownictwem pana Maydiga, zaczął wykonywać cuda. Specyjalnie i z naciskiem zwracamy uwagę czytelnika na tę datę.

Czytelnik zarzuci nam, jeżeli już nie uczynił tego, że pewne punkta tej historii są nieprawdopodobne, że gdyby fakta tego rodzaju odbyły się istotnie, toby o nich mówiono, w owym czasie, po wszystkich gazetach. Szczególnie zaś wyda mu się trudnem uznać fakty niżej podane, gdyż między innymi prowadzą one do wniosku, że on lub ona, czytelnik lub czytelniczka, musieli — by w ten pamiętny wieczór zginąć w sposób gwałtowny i bezpowrotnie. W dalszym ciągu tego zarysu wszystko to doskonale się wyjaśni i stanie wiarogodnem, co uzna każdy rozważny i inteligentny czytelnik.

Ale nie na tem miejscu możemy zakończyć tę historję, do której środka zaledwieśmy doszli. Z początku, cuda dokonane przez Fotheringaya były to tylko bojaźliwe małe cudki, na drobnych przedmiotach i cackach pokojowych, również nikłe jak cuda teozofów, a mimo to przyjmowane z pełnym uszanowaniem lękiem przez ich współtwórcę. Co do p. Fotheringaya, to ten chciałby z miejsca skończyć sprawę Wincha. Ale p. Maydig nie dopuścił do tego. Dokonawszy z tuzin tych trywialnych cudów domowych, poczuli, że zmysł ich władzy rośnie, wyobraźnia podnieca ich inwencyę, wreszcie ambicya się powiększa.

Pierwsze wielkie przedsięwzięcie zawdzięczać mają głodowi i niedbalstwu pani Blinchin, gospodyni clergymana. Wieczera, którą p. Maydig ofiarował p. Fotheringay, była zapewne źle podana i niezbyt apetyczna dla obu pracowitych thaumaturgów, ale ci siedzieli już przy stole i wielebny mówił ze smutkiem raczej niż z gniewem o niedbalstwie i za-

pomnieniach swej gospodyni, gdy p. Fotheringay przyszło do głowy, że ma wyjątkową okazję.

— Czy nie sądziłby pan, panie Maydig, czy nie byłoby to niedyskretnie, gdybym...

— Drogi panie Fotheringay, zapewne, nie, nie myślę...

P. Fotheringay przerwał mu gestem.

— Czegóż zażądamy — pytał jako umysł szerszy, który staje na wysokości sytuacji, i podług wskazówek p. Maydiga, ułożył projekt nowej kolacji.

— Co do mnie — rzekł, przeglądając wybór p. Maydiga — to mam szczególną słabość do pół butelki stoutu i dobrej porcy królika — i to właśnie rozkażę. Do burgunda nie mam przekonania.

I oto z miejsca ukazał się stout i królik — na zawołanie. Długo siedzieli przy wieczerzy, rozmawiając jakby równi sobie, czem p. Fotheringay był zdziwiony i za co był prawdziwie wdzięczny clergymanowi. Mówili o cudach, jakie zamierzali z mocy swej wykonać.

— Ale — panie Maydig — mógłbym może panu pomóc pod względem gospodarskim.

— Nie rozumiem dobrze — rzekł wielebny, nalewając sobie szklankę cudownego burgunda.

P. Fotheringay wyczarował sobie drugą porcy królika i z pełną gębą mówił:

— Myślałem sobie — *niam, niam* — że może mógłbym — *niam, niam* zrobić cud z panią Blinchin — *niam, niam* — uczynić ją lepszą.

P. Maydig postawił szklankę na stole i zdawał się niedowierzać.

— Ona jest... Ona nie lubi, gdy się kto miesza do jej spraw, uważa pan, p. Fotheringay. I prawdę mówiąc, jest już po jedenastej i zapewne leży już w łóżku i śpi. Czy myśli pan ostatecznie...

P. Fotheringay rozmyślał o tych zarzutach.

— Czemuż nie mamy zrobić tego w czasie jej snu?

Chwilowo p. Maydig opierał się temu, a potem ustąpił.

P. Fotheringay wydał rozkazy — i nieco mniej swobodnie, być może, obaj panowie dalej spożywali wieczerzę. P. Maydig rozważał zmiany, jakich się spodziewał u swej gospodyni nazajutrz z optymizmem, który nawet zdrowemu rozsądkowi najedzonego Fotheringay'a wydawał się nieco przesadzonym, gdy szereg zmieszanych hałasów dał się słyszeć nad niemi. Oczy ich poglądały pytająco, a p. Maydig szybko opuścił izbę. P. Fotheringay słyszał jego głos: clergyman wzywał swą gospodynię

a potem z wolna wchodził na schody. Po kilku chwilach wielebny powrócił lekkim krokiem, z promieniejącą twarzą.

— Cudownie! — rzekł — i wzruszające! Niesłychanie wzruszające!

Znów zaczął tam i z powrotem chodzić koło komina.

— Skrucha, wzruszająca skrucha... poprzez drzwi. Cudowna zmiana. Wstała. Musiała pewnie wstać natychmiast. Obudziła się, aby potłuc butelkę koniaku, ukrytą potajemnie w kuferku. I wyznała to głośno. Ależ to nam pozwala... to nam otwiera najcudowniejsze widoki możliwości. Jeżeli mogliśmy uczynić taką zmianę w niej...

— Rzecz zupełnie bez granic — rzekł p. Fotheringay — a co do Wincha...

— Zupełnie bez granic...

Wielebny stał przed kominkiem, a usunawszy gestem trudną sprawę Wincha, zaczął rozwijać szereg cudownych pomysłów — pomysłów, które budziły się w jego wyobraźni w miarę, jak mówił.

Co to były za pomysły, to nie należy do tej opowieści. Dość wiedzieć, że wszystkie one opierały na bezmiernej życzliwości dla ludzi: dość wiedzieć też, że problemat Wincha został nie rozwiązany. Również nie ma potrzeby opisywać, w jakiej mierze ten szereg cudów został urzeczywistniony. Losy tych cudów były zadziwiające. Zaczynało już prześwietywać, gdy obaj panowie jeszcze gawędzili, a było to na rynku miejskim; błędzili po placu, jakby złodowaciałym w promieniach księżycy — podnieceni szczególną ekstazą taumaturgiczną, p. Maydig, podskakiwał wciąż i gestykulował, p. Fotheringay, zgięty i najeżony, coraz bardziej się dziwował swej wielkości. Odrodzili wszystkich pijaków dzielnicy, zmienili wszystko piwo i alkohol w wodę — do czego namówił p. Fotheringay'a Maydig. Nadto wielce ulepszyli ruch miejscowej kolei żelaznej, osuszyli bagniska, podnieśli płodność gruntu wzgórz otaczających miasto, i zniewczyli brodawkę na rękę clergymana; teraz zamierzali zbadać, czy potrafiliby uregulować zepsutą groble rzeczną.

— Miasto — mówił p. Maydig będzie zupełnie niepodobne do siebie, a jakże wszyscy będą zdziwieni i wdzięczni!

Właśnie w tej chwili zegar kościelny wybił godzinę trzecią rano.

— Ale już trzecia — mówił p. Fotheringay. Muszę wracać. Muszę być w biurze dziś o ósmej rano. A zresztą...

— Panie drogi, dopiero co zaczęliśmy — odparł mu wielebny, upojony słodyczą potęgi bez granic. Zaczęliśmy dopiero. Pomyśl pan, ile dobrego mamy uczynić. Gdy się ludzie obudzą...

— Ależ — rzekł p. Fotheringay.

P. Maydig naraz chwycił go za ramię. Oczy jego były ogniste i straszne.

— Drogi przyjacielu — rzekł — nic nie nagli. Spójrzyj! I wskazał mu palcem księżyc na zenicie. — Jozue!

— Jozue? — zapytał p. Fotheringay.

— Jozue! — powtórzył p. Maydig. Czemuż nie? Zatrzymaj!

P. Fotheringay spojrział na księżyc.

— To gruba sprawa — zauważył po chwili.

— Czemuż nie? — nastawał Maydig. Zapewne księżyc się nie zatrzyma. Zatrzymasz tylko obrót ziemi, rozumiesz? Czas się zatrzyma. Nic złego nie zrobimy.

— Hum! — mruknął p. Fotheringay. — A zatem — westchnął — spróbujmy. Dalej!

Zapiął surdut i zwracając się do zamieszkanego globu i zbierając wszystką ufność w swoją potęgę, zawołał:

— Przestań się obracać, hej, rozumiesz?

Natychmiast uleciał w powietrze, szybkością paru tuzinów mil angielskich na minutę, przyczem to głowa, to nogi leciały w górę i nadół. Pomimo niezliczonych kół, jakie robił co sekunda, myślał; bo myśl jest cudowna — czasem tak powolna jak smoła co się toczy, czasem tak błyskawiczna jak światło. W jednej sekundzie myślał i chciał.

— Niechaj się znajdę na ziemi zdrów i cały. Cokolwiek się stanie, niechaj będę na ziemi zdrów i cały.

Był wielki czas, gdyż ubranie jego, rozgrzane szybkością lotu po powietrzu, już zaczynało płonąć.

Znalazł się też na ziemi po uderzeniu gwałtownem, lacz bynajmniej nie bolesnem ani szkodliwem dla całości jego członków, na czemś — ni-by wzgórze świeżo poruszonej ziemi. Masa ogromna metalu i murów, niezwykle podobna do wieży zegarowej na Rynku, przeleciała nad nim i uciekała jak bomba, pękając kamieniami, ceglami i tynkiem. Krowa jakaś wirując w powietrzu, uderzyła o jeden z największych głazów i rozbiła się jak jajko. Był to trzask, wobec którego najokropniejsze hukii jego minionego życia zdawały się szmerem spadającego piasku, a potem zabrzmiała gama coraz mniejszych huków. Potężny wicher ryczał w powietrzu i na ziemi, tak iż p. Fotheringay zaledwie mógł podnieść głowę, by spojrzeć dokoła siebie. Przez niejaki czas był on nadto zdyszany i nadto zdumiony, by widzieć nawet, gdzie się znajduje i co się stało. Pierwszym jego ruchem było dotknąć głowy i upewnić się, że jego włosy rozwiane od wiatru — to jego własne włosy.

— Panie! — bełkotał p. Fotheringay, któremu wicher przeszkadzał mówić wyraźnie. Oto mnie wstrząsało. Co się tu nie dzieje? Huragan i gromy; a przecież jedna chwila temu, była śliczna noc... To Maydig mnie namówił do jakiegoś głupstwa! Co za wicher! Jeżeli dalej będę się tak bawił, to może się zdarzyć jakaś katastrofa... Gdzież jest Maydig? W jakim przeklętym bezładzie znajduje się tu wszystko...

Spojrzał dokoła siebie, o ile mu pozwalały latające poły surduta. Widok przedmiotów był istotnie dziwny.

— W każdym razie, niebo jest na swoim miejscu — powiedział p. Fotheringay. Ono jedno jest na miejscu. A nawet i tam zdaje się niedługo wybuchnie jakaś wichura... Tylko księżyc, nad moją głową, tam, w tem samym miejscu, gdzie tylko co był, świeci jak słońce. Co do reszty... Gdzie jest miasto? Gdzie wszystko? I co za dyabeł wywołał ten wicher! Ja go nie rozkazałem...

P. Fotheringay czynił wielkie wysiłki, by stanąć na nogach, lecz napróżno, i zrozpaczony siedział jakby na czterech łapach, uczepiwszy się ziemi; spoglądał na krajobraz oświetlony promieniami księżyca, utkwivszy wzrok w stronę z kąd szedł wiatr, przyczem poły surduta ciągle mu kłapały nad głową.

Na seryo, coś się popsuło w świecie. Ale co to być może, łaskawe nieba, któż mi powie?

Nigdzie nie było widać nic, w białym blasku, którym od księżyca świecił tuman kurzu, unoszonego przez rozszalałą burzę; tylko od czasu do czasu występowały walące się masy ziemi i pędzące gromady chaotycznych gruzów; ani drzew, ani domów, ani żadnych form zwykłych, tylko ogromna przestrzeń wywrócona do góry nogami, której widok niknął gdzieś w wirujących się chmurach, a błyskawice i odgłosy gromów świadczyły o rosnącej nieustannie burzy. Obok niego, w niejasnym świetle, leżało coś, co zapewne było grabem lub bukiem, masa bezkształtna kawałów drzewa, na drzazgi rozbita aż do korzenia, a dalej gruz pogmatwany sztab żelaznych — był to zapewne wiadukt — wydobywał się z jakichś chaotycznie nagromadzonych ruin.

Jak pojmujecie, gdy p. Fotheringay powstrzymał krążenie globu, nie uczynił żadnego zastrzeżenia co do przedmiotów poruszających się wraz z powierzchnią planety. Ziemia zaś obraca się tak szybko, że jej powierzchnia na równiku pędzi z szybkością więcej niż tysiąca mil na godzinę, a w naszych szerokościach jeszcze o pół więcej. W ten sposób małe miasto, i p. Maydig i p. Fotheringay i wszyscy ludzie i wszystkie rzeczy — rzucone zostały naprzód z szybkością około dziewięciu mil na

sekundę, to znaczy daleko gwałtowniej, niż gdyby zostały wyrzucone przez armatę. I wszystkie istoty ludzkie, wszystkie stworzenia żywe, wszystkie drzewa, wszystkie domy — i cały świat, jak go znamy — został rzucony w ten sposób, wywrócony do góry nogami i poprostu zniszczony.

O tem wszystkim, oczywiście p. Fotheringay nie wiedział i ściśle nie zdawał sobie sprawy z położenia rzeczy. Ale to zrozumiał, że jego cud był chybiony — i wtedy obudziła się w nim straszliwa niechęć do cudów. Znajdował się teraz w ciemności, gdyż chmury się zebrały i chwilami zakrywały tarczę księżyca, a powietrze było pełne wielkich kul lek gradowych, które uderzały o siebie i kręciły się w kółko. Wielki ryk wiatru i wody zapełniał niebo i ziemię — i nieszczęsny thaumaturg, ochraniając oczy dłonią, dostrzegł, po przez grad i kurzawę, wielką ścianę wody, idącą ku niemu.

— Maydig! — zawył głos p. Fotheringay, przygłuszony wrzawą żywiołów. — Na pomoc! Maydig! Zatrzymaj się! — krzyknął do nadpływającej wody. — O, przez miłość Boga, zatrzymaj się! Uciszcie się na chwilę — rzekł piorunom i błyskawicom. Przestańcie na moment, abym na nowo zebrał siły ducha! A teraz co ja zrobię! Co należy zrobić? O Boże, jakże bym chciał, aby tu był Maydig!... Już wiem — powiedział sobie naraz. Wróćmy wszystko na miejsce, jak było przedtem, przez miłość Boga tym razem...

Stał na czterech łapach, z głową pochyloną ku wiatrowi, całkowicie zajęty sprawą przywrócenia rzeczy do porządku.

— Ach, — westchnął. — Niechaj nic z tego, co rozkażę, nie stanie się zanim nie powiem: raz — dwa — trzy!... O! Panie! mogłem o tem wcześniej pomyśleć!

Podniósł tedy słaby głos przeciw trąbie powietrznej, wyjąc coraz głośniejszą w próżnej żądzy słyszenia własnych słów.

— Dalej! oto jest... Uważać, co nakazuję! Przedewszystkiem, gdy wszystko co powiem stanie się, niechaj utracę swą władzę robienia cudów; niechaj moja wola stanie się jak wola wszystkich ludzi — i niech te wszystkie cuda się skończą. Mam ich już dosyć! Wolę ich nie robić! To zawsze jedno i to samo — i to jest pierwsza rzecz. A teraz druga: niechaj wrócę do tej właśnie chwili, w której mają zacząć się cuda. Niechaj wszystkie rzeczy staną się znów tak, jak były zanim ta błogosławiona lampa miała się odwrócić! Robota trudna, ale ostatnia! Czy rozumiane? Dość cudów... niechaj wszystko będzie jak było... a ja w szynku

„Long Dragon“ właśnie kiedy się zabieram do wypicia kufla porteru... Tego chcę! Tak niech się stanie...

Wcisnął palce w ziemię — zamknął oczy — i rzekł:

— Raz, dwa, trzy!

Wszystko się naraz uspokoiło zupełnie. Czuł, że znowu stoi.

— Więc to *pan* powiada — mówił jakiś głos.

Otworzył oczy. Znajdował się w barze „Long Dragon“ i rozmawiał o cudach z p. Toddy Beamish. Miał jakieś niewyraźne poczucie, które się natychmiast rozprysło, o jakimś wielkiem zapomnianem zdarzeniu. Rozumiecie, że prócz zatury jego potęgi cudotwórczej, wszystkie inne rzeczy były nanowo w porządku; a zatem jego umysł i pamięć były teraz absolutnie tem czem były w chwili, gdy się ta historia zaczyna: w ten sposób, że nie wiedział on nic o tem wszystkim, co jest tu opowiedziane i nie wiedział aż do dziś nic z tego, co ja tu przedstawiłem. I między innemi, oczywiście, w dalszym ciągu nie wierzy w cuda.

— Mówię panu, że cuda, ściśle biorąc, nie dadzą się w żaden możliwy sposób wykonywać, cokolwiek by mi pan twierdził. I gotów jestem tego dowodzić aż do ostatka.

— To tylko *pańska* opinia. Dowiedz pan, jeżeli możesz — odpie-rał Toddy Beamish.

— Słuchaj pan, p. Beamish — wykladał Fotheringay. Rozważmy jasno, co to jest cud. Jest to fakt przeciwny naturalnemu biegowi rzeczy i wykonany jedynie potęgą woli...

Kuszenie Harringay'a.

Niepodobna zupełnie twierdzić, o ile autentyczną jest niżej opowiedziana przygoda, gdyż całkowicie opiera się na słowach łaskawego p. Harringay, który jest artystą. Zgodnie więc z tem, co on sam mówi, Harringay przyszedł do swej pracowni około godziny dziesiątej rano, by zobaczyć co można zrobić z figury, nad którą pracował wczoraj. Była to postać włocha grającego na organach i Harringay, nie mając decyzji, rozważał, czy obraz ten nazwać „Wigilia“ czy też „Żarliwość“. Dotąd wszystko dobrze — i całe opowiadanie cechuje widoczna prawdziwość. Widział na ulicy człowieka, który żebrał o parę groszy — i z chęcią geniuszu natychmiast wziął go do siebie.

— Klękniij i patrz na tę konsolę, jakby ci ztamtąd miały padać pieniądze... Nie pokazuj zębów... Nie mam zamiaru malować twoje dziaśła... Dobrze... Teraz zrób nieszczęśliwą minę...

Po odpoczynku nocnym, nie był zadowolony ze swego dzieła.

— A jednak to nie jest tak złe — monologował Harringay. — Ta szyja wcale dobra... Ale...

Sto kroków zrobił po pracowni, chodząc zamyślony tam i napowrót i badając swój obraz ze wszystkich stron i pod każdym względem. Wreszcie głośno powiedział brzydki wyraz, który był powtórzony w wersji oryginalnej.

— Malować! — szeptał. Chcieć wymalować poprostu grajka, zwyczajny portret! Gdyby szło o sfabrykowanie żywego grajka, tobym się nie tak dręczył! To dziwne! Nigdy mi się nie uda zrobić nic takiego, co by miało minę istoty żywej! Czy to nie wada mojej wyobraźni?

To również wygląda poniekąd na prawdę. W istocie, musiał on mieć wadliwą wyobraźnię.

— Ach! to dotknięcie twórcze! Wziąć płótno i farby i stworzyć

człowieka tak, jak Adam był stworzony z czerwonej ziemi. Ale ta bazarzgrana! Ktoby to zobaczył u jakiego tandeciarza, myślałby że to robota byle jak sobotnim ścięciem uszyta... Łobuzy by krzyczały: trzeba to oprawić... Nie, to nie może tak pozostać, dalej, kilka lekkich rzutów.

Ruszył do okna, opuścił częściowo sztory z błękitnego płótna holenderskiego, które opadało do samej ziemi. Wziął paletę, pędzle, podórkę — i stanąwszy przed obrazem, zaznaczył kąciki ust; poczem całą uwagę skupił na źrenicy oka, a następnie zauważył, że broda zupełnie była nieodpowiednia dla „Żarliwości“.

Wkrótce odłożył pędzel i paletę. Zapaliwszy fajkę, cofnął się, by lepiej ocenić postęp swej pracy.

— Niech mnie powiesz, jeżeli ten portret nie urąga mi w nos — zauważył Harringay.

I teraz uparcie wierzy, że od tej chwili, portret rzeczywiście drwił sobie z niego.

Wyraz twarzy zapewne się ożywił, ale bynajmniej nie w tym duchu w jakim artysta pragnął. Uśmiech szyderczy był widoczny, niepodobna było się mylić.

— „Żarliwość niewierzącego“ — szeptał Harringay. Ha! ha! oto byłby tytuł subtelny i głęboki. Ale brew na lewem oku nie jest dość cyniczna.

Dotknął jej zlekka i powiększył nieco muszlę ucha, by lepiej podkreślić materializm. Nowe badanie nastąpiło.

— Boję się, że wszelka żarliwość tu znikła... Czemu by to nie miał być „Mefistofeles“? Ale to zbyt banalne... „Przyjaciół Doży“ — to byłoby niezłe. Ale, potrzebna zbroja. Zbyt pachnie „Okrągłym stołem“. A może włożyć mu czerwoną suknię i nazwać: „Członek świętego kolegium“. Byłoby to poważne i świadczyłoby o uczonej ciekawości do średniowiecza włoskiego... Zręczny szkic złotego pucharu w kąciku — stworzyłby naraz „Benvenuta Celliniego“, ale cera nie byłaby dobra.

Gadał sam do siebie w ten sposób (jak mówi), aby zdusić w sobie przykre uczucie zgrozy, którego nie mógł sobie wyjaśnić. Portret miał teraz wyraz twarzy bynajmniej nie miły, żywszy jednak niż inne jego portrety, żywszy, pomimo złowrogo uśmiechnięte wargi, od wszystkich portretów, jakie malował dotychczas.

— Nazwijmy go „Portretem szlachcica“ — postanowił Harringay. Szlachcica — nie, to nie idzie — mówił, ledwie zachowując resztki odwagi. Krzyczano by na zły smak. Ten uśmiech szyderczy musi zniknąć. Gdy to pójdzie precz, jeżeli dodamy trochę ognia w oczach... Patrzcie,

nie zauważyłem jeszcze tego błysku w źrenicy... A z tego mógłby być... kto? „Pielgrzym namiętny“? Hm! Z tej strony cieśniny — postać nieco dyabelska... To coś nieokreślonego daje pewnie ten efekt — brwi są zbyt ukośne...

I przy tych słowach jeszcze bardziej opuścił stopy, aby uzyskać lepsze światło, potem wziął znów paletę i pędzle.

Portret zdawał się żyć swoim własnym życiem i malarz nie był w stanie odkryć, z kąd pochodzi ten wyraz szatański. Doświadczenie było konieczne. Brwi... lecz to nie mogło pochodzić z brwi. A jednak dotknął ich pędzlem. Nie, nie, było lepiej; a nawet prawdę mówiąc, było jeszcze bardziej szatańsko. Kąciaki ust? Zawsze to przymaszczenie urągliwe, a teraz, po dotknięciu, ohydnie ponure. Więc oko? Katastrofa! Zdawało mu się, że używał barwy brunatnej, a tymczasem malował na czerwono. Oko teraz zdawało się poruszać w orbicie i rzucało mu płomieniste spojrzenia. Gniewnym ruchem, może przez odwagę trwogi, uderzył w obraz pędzlem, pełnym czerwonej farby — i wówczas rzecz niesłychanie ciekawa, rzecz niesłychanie dziwna — stała się, o ile rzeczywiście się stała: *dyabelski Włoch zamknął oczy, ściągnął usta i otarł ręką arbę, którą był zamazany*. Poczem *czerwone oko* otwarło się na nowo, i jakby z szelestem warg sklejonnych, które się rozłączają — i uśmiechając wyrzekł portret:

— Masz ruchy nieco żywe!

Harringay twierdził że w tej chwili, wobec coraz gorszego położenia rzeczy, odzyskał zimną krew całkowicie. Miał pokrzepiające przekonanie, że demony są to istoty rozumne.

— A ty — odparł malarz demonowi — czemu się wierzysz bezustanku, czemu robisz grymasy i małpiarstwa, czemu urągasz i kosisz oczy gdy ja maluję?

— Ja się nie ruszam — odrzekł portret.

— Nic ruszasz się? — zawołał Harringay.

— Ale nie, to ty.

— Nie, to nie ja.

— Ty — z naciskiem gadał Włoch. Nie, nie zamazuj mnie znowu, bo to prawda. Cały ranek szukałeś wyrazu dla mojej twarzy, ale w gruncie nie masz najmniejszego pojęcia, jaki to ma być wyraz.

— Ale owszem — wołał Harringay.

— Nie i nie! — ciągnęła malowana postać — to samo jest z twoimi wszystkimi portretami. Kiedy zaczynasz obraz, to masz bardzo niejasne pojęcie o tem, co zrobisz. Będzie to coś bardzo pięknego — przy-

najmniej jesteś tego pewny, — jakaś rzecz religijna albo tragiczna, ale pozatem reszta jest sprawą przypadku, nieprzewidzianą i ślepą. Czy myślisz, drogi przyjacielu, że można w ten sposób malować obraz?

Przypominam tu raz jeszcze, że o wszystkim, co się opowiada niżej — nie mamy innych dowodów prócz świadectwa Harringay'a.

— Chcę malować obraz bezwzględnie, tak jak to rozumiem — odpowiedział zimno Harringay.

Słowa te mogły nieco zmieszać zuchwalca.

— Nie możesz przecie malować obrazu bez natchnienia.

— Ale do tego obrazu miałem natchnienie.

— Natchnienie! — zaszydziła sardoniczna postać. — Kaprys to był — zobaczyłeś grajka co podnosił oczy ku oknu. Żarliwość. Ha! ha! Zaczęłeś malować, sądząc, że z tego coś wyjdzie. Oto twoje natchnienie. To też kiedyś się ujrzał w werwie, przyszedłem. Rozmawiajmy. „Sztuka z tobą — rzekł portret — to robota ciężka. Jesteś tylko ptak brodzący. Nie rozumiem, jak to się dzieje, lecz zdajesz mi się niezdolny, by się całkowicie oddać swemu dziełu.

Zadużo umiesz — i to ci przeszkadza. Śród największego zapału, pytasz się, czy już nie zrobiono kiedy coś podobnego. I...

— Powiedz — przerwał Harringay, który oczekiwał na coś lepszego, niż krytyka ze strony demona — czy dalej będziesz gadał o sztuce?

Nabrał czerwonej barwy największym pędzlem.

— Prawdziwy artysta — mówił portret — jest zawsze ignorantem. Artysta, który teoryzuje z powodu swej sztuki — nie jest już artystą, ale krytykiem. Wagner... He, co ty chcesz robić z tą czerwoną farbą?

— Chcę cię zamalować i zmasać — odparł Harringay — nie chcę więcej służyć twojej gadaniny. Jeżeli sądzisz, że ponieważ jestem malarzem z zawodu, będę się z tobą bawił w gawędę o sztuce — to się grubo mylisz.

— Chwila jeszcze — rzekł portret, rzeczwiście przerażony. Chcę ci coś zaproponować, coś bardzo poważnego. Właśnie o tem chciałem mówić. Brak ci natchnienia. To wiadomo. A więc, słyszałeś pewnie o katedrze kolońskiej, o moście dyabelskim, i o...

— Dość, dość — przerwał Harringay. Jeżeli sądzisz, że ja przehandluję zbawienie swej duszy za zwykłą przyjemność namalowania dobrego portretu, któryby przytem miała zjechać krytyka — o, nie, nie!... Dalej, masz! Krew mu kipiała. Niebezpieczeństwo (mówił) podniecało go tylko — pomieścił swój szkarłatny pędzel w gębie demona. Włoch, niewątpliwie bardzo przerażony, cofnął się i chciał wypluć farbę. Wte-

dy, ciągle podług Harringaya, wywiązała się nadzwyczajna walka. Harringay chlapał czerwoną farbą na twarz demona, a ten wił się nieustannie i o ile mógł coraz ją ścierał.

— ...o dwóch arcydziełach — jękał się Włoch — o dwóch niewątpliwych arcydziełach, w zamian za duszę artysty. To doskonały interes.

Harringay odpowiadał uderzeniami pędzla.

W ciągu paru minut słychać było jedynie szmer poruszającego się w zygzakach pędzla — i bełkoty i plucie demona. Nie mało farby rzucił mu Włoch z powrotem na ramiona i ręce, choć po większej części udawało się Harringay'owi uniknąć ruchów nieprzyjaciela. Wkrótce czerwona barwa była wyczerpana — i obaj przeciwnicy stali naprzeciw siebie oko w oko, zadyszani. Portret był tak zaplamiony barwą czerwoną, że możnaby sądzić, pławił się po szlachtuzie; z trudem oddychał — i zdawał się w bardzo niedogodnym położeniu — skutkiem barwistego płynu, który mu spływał wzdłuż szyi. Jednak pierwszy odpoczynek umiał wyzyskać na swoją korzyść.

— Rozważ — powiedział jeszcze, upierając się przy swoim — dwa najwyższe arcydzieła, różnego stylu, każde pod względem piękna, równe katedrze.

— Czekaj na chwilę! — krzyknął Harringay.

Wybiegł z pracowni, pospieszył do pokoju swej żony i prawie natychmiast powrócił z ogromnym garnkiem lakieru i ogromnym pędzlem. Na ten widok artystyczny demon czerwonoooki zaczął wycić!

— Trzy arcydzieła! Trzy epokowe arcydzieła!

Harringay dwukrotnie szybko mierzył udanym rzutem już tu, już tam — aż wreszcie potężnym ciosem pędzla uderzył Włocha w oko. Słychać było przygłuszone warczenie.

— Cztery arcydzieła...

I demon wypluł wielki łyk farby.

Ale Harringay zaczął brać nad nim górę — i czuwał, by go obezwładnić. Wielkimi kolejnymi uderzeniami nieustannie zamazywał płótno, tak że w końcu stało się ono płaszczyzną jednostajną i błyszczącą. Na chwilę tylko usta zjawily się nanowo i zawołały:

— Cztery arcy... — ale natychmiast zostały pokryte warstwą lakieru; poczem znów na mgnienie ukazało się oko, rzucając nań oburzone, a płomiennie jeszcze ostatnim błyskiem ognia — spojrzenie. Potem już nie było nic, tylko kwadratowe płótno jednobarwnie zalakowane. W ciągu paru minut słabe ruchy marszczyły tu i owdzie powierzchnię, ale ostatecznie i to znikło — płótno wisiało na staludze absolutnie spokojne.

Wówczas Harringay, zgodnie z jego własnym opowiadaniem, zapalił fajkę, usiadł, patrzył osłupiały na swój obraz zamazany od góry do dołu werniksem i starał się zrozumieć co się stało. Potem poszedł zobaczyć, czy z drugiej strony płótna nie ma czego osobliwego; w tej chwili żałował, że nie sfotografował dyabła przed zamazaniem.

To Harringay opowiada tę historię, nie zaś ja. Jako dowód, podaje on swoje gwałtowne twierdzenia i małe płótno 24 na 20, pokryte gęstą warstwą blado-zielonego werniksu. Prawda również, że nigdy nie stworzył arcydzieła, a jego serdeczni przyjaciele są przekonani, że go nigdy nie stworzy.

Przełożył A. Wrzesień.



KRYTYKA.

RENÉ GHIL. LE PANTOUN DES PANTOUNS. Poème Javanais. Paris et Batavia. 1902.

Śród pisarzy francuzkich René Ghil zajmuje stanowisko zupełnie odosobnione: nie należy on do żadnej grupy, lecz wytrwale – nawet z uporem – rozwija plan dzieła, które wymarzył za lat młodzieńczych, dzieła, któremu też nadał tytuł ogólny: *Oeuvre*.

Jest to olbrzymi poemat, malujący stopniowe doskonalenie się bytu, w pojęciu teorii ewolucyjnej. Nie mam tu zamiaru rozważać, o ile autor szczęśliwie myśl swoją przeprowadził; jego metoda literacka (instrumentyzm) ma wielu przeciwników; jest w jego sposobie pisania wielka mętność tak, że przez bardzo melodyjne dźwięki jego wierszy trzeba się przedzierać, jak przez las dziewiczy, aby znaleźć perły w nich zawarte. Dotąd wyszło dziesięć tomów *Oeuvre*; jeszcze 4–5 części, a praca będzie wykończoną.

Tymczasowo autor – w chwilach wolnych od pracy nad swym wielkim poematem – pod wpływem jakichś wrażeń egzotycznych i szczególnych – ogłosił również egzotyczny i szczególny utwór p. t. „Le Pantoun des pantouns, poème Javanais“ (Paris et Batavia, 1902).

Przedewszystkiem parę słów wyjaśnienia, co znaczy *pantoun* (pantum); jest to jawańsko-malajska forma poetycka, wprowadzona do Europy przez Asselineau i Leconte de Lisle'a; polega ona na tem, że w każdej strofie czterowierszowej powtarzają się dwa wiersze ze strofy poprzedniej. Ponieważ w poemacie R. Ghila – ogólnie biorąc, pisany swobodnie – często się powtarza forma pantumu, przeto nadał jej odpowiedni tytuł.

Poemat ten daje należyte pojęcie o autorze; mętny i niewyraźny, składa się z impresyj lotnych, nie ułożony w logiczny porządek *à posteriori*, ale przeciwnie tak podanych, jak autorowi podsuwał je los oraz kojarzenie wyobrażeń. A przecież przy całej

nieokreśloności rzeczy, przy niematerialności słów i treści — autor daje nam osobliwy, egzotyczny, tajemniczy jakiś aromat widnokręgów dalekich, mórz południowych, słońc purpurowych, wysp „sennych i leniwych“, miłości gorących, rozerwanych i roztęsknionych.

O ile można wysledzić w Pantumie R. Ghila jakąś historię — jest to historia jakiejś młodej Jawanki — tancerki (Rong'ghen'g), która kochała poetę, a która teraz opuściła Paryż i z dalekiej Jawy wspomina o nim; i poeta był również na tej wyspie i z czerpnął ztamtąd mirażę czarodziejskich krajobrazów: oboje więc, kochanek i kochanka — tęsknią za sobą poprzez lądy i morza.

Aby dać czytelnikom pojęcie o sposobie pisania René Ghila, damy tu parę urywków z Pantumu, w białowierszowym przekładzie. Dodać muszę, że autor, lubujący się w osobliwych dźwiękach, nagromadził w swoich wierszach mnóstwo wyrazów jawańskich, malajskich i chińskich, które podnoszą egzotyczny zapach utworu. Oto jest jego uwertura.

Pantum brzmi: na południe, w prawo Singapuru —
O siódmej — przed godziną moją — w kręgu czasów —
Wokół świata, gdzie drzemie sen, by być gdzieindziej,
Gdy oczy śpią, a inne poblady od zorzy...

O siódmej przed godziną moją — w kręgu czasów —
Rozdzwoniona w *dagopach* wież Buru-Buduru —
Gdy oczy śpią, a inne poblady od zorzy,
Lube, jak pola ryżu promieńmi oblane...

Rozdzwoniona w *dagopach* wież Buru-Buduru,
Jest wyspa tańcząca wśród dźwięku *gamlangów*,
Luba, jak pola ryżu promieńmi oblane:
Ziemia — pod zasłoniętą zadrzała powieką!

Jest wyspa tańcząca wśród dźwięku *gamlangów*,
Lecz słysząc, jako dusza lka miłością chora:
Ziemia pod zasłoniętą zadrzała powieką,
Pod którą nie umarły ni lzy ni uśmiechy.

Lecz słysząc, jako dusza lka miłością chora:
Bijąc z *gunungu* w *gunung* utajonych *gongów*,
W których umrzeć nie mogą ni lzy ni uśmiechy:
Oczy twoje zabłysną w nieśmiertelnem pantum!

(*dagop* — stopnie na wieżach; *gamlang* — orkiestra; *gunung* — wulkan; *gong* — instrument muzyczny).

Dalej autor przenosi myśl swą na Jawę, używając określeń i obrazów z poezji ludowej malajskiej.

Jawo — kraino głuchych gór! *Ghede poulo, dYauwau!* ¹⁾
 gdzie pod śladami paw, liście *teku* ²⁾ górnice
 zwisły — jak ubarwione zorzą — wśród oparów
lewungu ³⁾, — gdy po burzy wirami zapachów
 biją z potężną mocą surowe *guntury* ⁴⁾,
 w kroplach powietrza nowe przeczuwając słońce!
 gdzie pod stadami paw liście *teku* barwią
 swem uśpieniem promiennem czyste chwile! — *dYauwau*
 której góry nad tchnieniem mem ciężą, a której
 Duch — susząc w woniach złotą swoją krew — przenika
 snem błędzenia w oddali skroń mą rozdzwonioną,
 jako na wzór *ghendangu* ⁵⁾ co teraz zamilknął —
andarodog! ⁶⁾ usycha serce! *dYauwau*
 Nostalgiczniejsza ustom, niż *sessess* kochanki,
 której zamilkły krzyk rozkoszy — jeszcze głośno
 brzmi w rozjęsknionem gardle — cieniami zakrytej
Tekoukour ⁷⁾, która grucha na szczycie *pinangu!* ⁸⁾
 Usta me kosztowały, by tem żyć na zawsze,
 Ziarn *ghendié* ⁹⁾ od których duch mój się obłąkał!

Damy tu jeszcze kilka urywków z różnych miejsc poematu. Autor wyraża nostalgię dalekich przestrzeni i tęsknotę za utraconą kochanką.

O iść ku słońcom, w których blasku się usypiał
 Wszystkie imiona, pieprzem wonne, czarno-złote,
 Któremi brzmi godzina niema — ryb skrzydlatych,
 Wszystkie imiona teraz huczą w mojej głowie
 Okrętów do Batawii idących... Ach, tam
 Uciec! jakby uchodząc w czasy powrócone,
 Gdy od *sirihu* ¹⁰⁾ ślina ma się czerwieniła!
 Iść ku wysokim słońcom na szczycie *pinangów*,
 nagim słońcom przestrzeni na wyżynie ruchu,
 Zastygłego w swem trwaniu...

Zimno — to Paryż! tyś wiedziała, że ludzie w Paryżu,
 uchodzą prędko, jakby byli przestraszeni..!
 że błądzą krokiem nocy, z której niema wyjścia...
 i że się tłoczą przez nagromadzone głązy,
 co stoją czarne — nad zimową wodą —

¹⁾ Wielka wyspa Jawa. ²⁾ Drzewo. ³⁾ Tęcza. ⁴⁾ Piorun. ⁵⁾ Bęben. ⁶⁾ Gwałtowne bicie serca. ⁷⁾ Oddech. ⁸⁾ Sinogarlica. ⁹⁾ Palma. ¹⁰⁾ Trawa narkotyczna. ¹⁶⁾ Liście używane do żucia.

jedne na drugich! Znałaś te domy powietrzne,
których szczyty widnokrag pożerają nieba,
tak daleko, wysoko, zabijając kwiaty,
że nikt nie zna godziny purpurowej mgły,
w której świt błyska ślepy księżycy i słońca.

A teraz uważmy, co mówi dziewczyna.

Gniewne, że śmiać się nie mogą,
gniewne, że nie mogą płakać:
jak ja! powoli ciągnąc igły ostre,
które mniej kolą niż słowa – Dziewczęta –
poruszając swe usta kolące
swe usta – niby igły obosieczne,
rzekły mi:

palce swe ciągnąc powoli
po złotym hafcie *sarongów* ¹⁾ – Dziewczęta
pod *emeperem* ²⁾, co chroni od słońca
i dżdżu – spokojnie zasiadłszy – Dziewczęta
z mego *kampongu* ³⁾, gdy się ich naparstki
mienily złotem, rzekły mi: Czy wiesz,
mów, ten złocisto-nocy, dla którego tęsknot
jedynie tańcowałaś tam – w twoim Paryżu
w jego *kratonie*... ⁴⁾ Słodki i smutny *soussouhan*, ⁵⁾
O którym marząc, oko twoje jeszcze mówi
Adouh! ⁶⁾ *adih!* ⁷⁾ Czy wiesz,
Zali on jeszcze ciebie przypomina? Wiesz,
Zali on jeszcze ciebie pamięta, ów *tuhan* ⁸⁾
Dla którego jedynie tańczyłaś w Paryżu,
A o którym ci marzyć słodko jest i smutno.

Ale nie wlały w uśmiech mój
Tęsknoty,
Ale nie wlały w mą tęsknotę
Bólu!

Gdybym szukał porównania dla R. Ghila w literaturze polskiej, to zdaje mi się,
że wiele analogii znajdziemy u Tadeusza Micińskiego.

A. L.



¹⁾ Suknia jawańska. ²⁾ Rodzaj werandy. ³⁾ Wieś. ⁴⁾ Pałac. ⁵⁾ Książę. ⁶⁾ Nie-
stety! ⁷⁾ Siostrzyczka. ⁸⁾ Pan.

LEON RYGIER. HAŃBA DUSZ. Powieść.

P. Rygier jest indywidualnością, która się dopiero ukształca, przeto powieść jego jest rodzajem dokumentu, na którym stwierdzić można temperament, stopień namiętności, poczucie estetyczne, wrażliwość na środowisko, ciekawość intelektualną, odrębność myślową i skłonność twórczą autora w obecnej dobie jego rozwoju. Zaznaczam odrazu, że pierwiastków oryginalnych w powieści tej nie znalazłem. Jest ona w budowie dość misterna i nie rozwlekała, w stylu nie bez zalet, w postaciach nakreślonych szkicowo znać rękę artystyczną: są to istoty prawdziwe, charaktery ludzkie, lecz nie zajmujące. Brak im siły, a siła stanowi jądro kreacji artystycznej. Są wprawdzie w literaturze postaci pełne niezwalzonego uroku estetycznego, a rzekomo bezsilne, bo łamiące się w życiu jak kwiaty o kruchych łodygach, lecz w istocie są one bezsilne w takim tylko razie, jeśli siłę identyfikować będziemy z umiejętnością przystosowania się do życia i brutalnością.

Trawiony nieuleczalną tęsknotą Niels Lyhre Jacobsena jest silnym, bo dusza jego jest podłożem niezmiernie bujnego uczucia; nieszczęśliwy bohater „Beznadziejnych“ Banga jest silnym, bo walczy z nieubłaganem dziedzictwem krwi i jest o tyle dla siebie surowym i miłującym duchową szlachetność, że woli raczej zejść z tego świata, niż duchowo zmarnieć. Bohaterowie pana Rygiera, Janina i Solski nie mają ani tej surowości, ani tej podniosłości ducha. Zstępują oni mniej więcej bez walki, nie gwałcąc podstawowej wartości swych dusz; tego rodzaju upadek duchowy jest rodzajem rychłego wyczerpania się pierwiastków szlachetniejszych u wielu natur, które łudzą

szlachetnością w zaraniu młodości; właściwie jest to tylko dalszy rozwój i wystąpienie na jaw pierwiastków tajemniczych. Istoty tego rodzaju podobne są do brzydkich roślin, które zakwitają na krótko ładnymi kwiatami.

W pierwszym swym utworze powieściowym p. Rygier nie okazał artystycznego zaciekawienia do natur wyższych, a w stosunku do swych bohaterów ujawnił cechę bardzo niepożądaną: dziwnie miękką pobłażliwość.

Kilka szkicowych rzutów postaci szlachetniejszych i mocniejszych duchowo, a na których miłośnie spoczęło oko autora, niezbyt się udały. Zdzitowiecki i Helena grzeszą rezonerstwem, zwłaszcza Helena ze swym stylem naszpikowanym zwrotami naukowymi, jest niezmiernie zabawna, a autor traktuje ją przezmiernie serio.. jako ideał i kobietę przyszłości..

W epilogu oświadcza p. Rygier, że stał poza powieścią więcej jako obserwator niż twórca, — a szkoda, bo dziś jest czas tęsknoty za twórcami, czas męczących oczekiwań i pytań, co każdy nowy nurek, pograżając się w ocean życia, wyniesie na światło dzienne.

Co powieść p. Rygiera wyróżnia dodatnio wśród mnóstwa innych przeciętnych utworów, to brak fałszów psychologicznych w charakterach i czysty, szczery stosunek do sztuki, nacechowany dążnością do malowania raczej charakterów ludzkich i tła epoki, niż do głoszenia krzykliwych tendencji lub aroganckich poglądów moralizatorskich.

L. CHOR.



Z POWODU OSTATNICH PRAC M. ZDZIECHOWSKIEGO.

(Dok.)

Nie tylko jednak fanatycy, bigoci i niewykształceni księża podlegli krytyce p. Zdziechowskiego; nie oszczędził on jej i jednostronnym apologetom katolicyzmu, nie chcącym pozbyć się „ponętne przeświadczenia, że teologia równie jest ścisłą jak matematyka“, i traktującym zgóry wszystkich, co nie tak myślą jak oni. Między innymi wspomina ks. Władysława Dębickiego, który „wynajduje tylko wyrazy nieskończonej pogardy dla wszystkiego, co nie jest ściśle katolickie, i nie rozumie tego, że patrząc na wyniosłe jego pastwienie się, pozytywiści równie pogardliwie wzruszają ramionami; ci zaś, co wątpią, ale chcieliby wierzyć, uwikłają się w nowych wątpliwościach, bo zanadto się zżyli z pewnymi kierunkami, zanadto nauczyli się czcić niektóre imiona, aby mogli zaufać człowiekowi, który w tych kierunkach i w tych ludziach upatruje tylko obłęd, graniczący z idiotyzmem“.

Przypomina on apologetom, że chociaż wiara była i będzie potrzebą duszy, to przecież rozwój nauki i krytycyzmu tyle zrobił, że „umysł, którym prawdy wiary narzucałyby się jako niezbite i jasne pewniki, należą do coraz rzadszych i zamierających okazów atawizmu“. Takimi przeniknięty myślami i takim nastrojem, rozpatrywał p. Zdziechowski w swoich „Szkicach literackich“ ważniejsze objawy budzenia się ducha religijnego, lub też prądów mistycznych, głównie w piśmiennictwie francuzkiem i polskiem, a w „Odrodzeniu się Chorwacyi“, kreśląc nowe nieraz, bo na nowych materiałach oparte, sylwetki ważniejszych przedstawicieli tego ruchu narodowego, zatrzymał się najdłużej nad fazą mistyczną w twórczości Preradovića.

Z pomiędzy artykułów, uwydatniających ożywienie się ducha religijno-moralnego w społeczeństwach zachodnich, do najciekawszych należy „Neo-idealizm francuzki“, gdzie autor zastanowił się szczegółowiej nad dziełami Gabryela Sarrazin'a, Melchiora de Vogüé, Karola Secrétana, zwolenników tegoż Secrétana i Leona Tołstoja, Gwidona de Brémond d'Ars, Klein'a, Desjardins'a, Pujo, Bérenger'a. Wielce interesującą jest tu uwaga, że Gabryel Sarrazin, co, zdaniem p. Zdziech. najpłomienniejszym zajaśniał zapalem do „Prawdy Bożej na świecie i do bohaterów ducha, wcielających tę Prawdę“, zwrócił się w ostatnich latach do czytania i badania naszych wiejszczów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, w nich szukając „tych pierwiastków bohaterstwa i nadziei, których potrzebuje Francya.“

Mniej zajmującą jest rzecz p. t. „Edward Schuré i esoteryzm“, bo sam przedmiot jego: tajemna mądrość kapłanów egipskich, esseńczyków, a potem templaryuszków, wolnomularzy i t. p. mało dotychczas został zbadany metodą ściśle naukową i budzi w umyśle krytycznym bardzo wiele wątpliwości; nie przemawia też właściwie nawet do duszy, tylko może zająć wyobraźnię. Usiłowania więc dzisiejszych esoteryków i okultystów, choćby nawet odznaczały się wielce szlachetnymi tendencjami, jak to stara się wykazać p. Zdziech., nie wywierają na umyśle dodatniego, podnoszącego i uspakajającego wrażenia, jako oparte na bardzo chwiejnej, fantastycznej podstawie.

Z przyjemnością więc przechodzimy do rozprawy: „Katolicyzm a prądy religijne w literaturze“, gdzie autor zamieścił może najwięcej uwag i przestróg trafnych a czasami istotnie głębokich. Osią, około której cała rzecz się toczy, są pięknie i rozumnie

pisane „Wieczory nad Lemanem“ ks. Maryana Morawskiego, jednego z najświetlejszych i najwyżształceńszych u nas apologetów katolicyzmu.

Rzecz o Preradoviću (w „Odrodzeniu Chorwacyi“), porównana z dawniejszą jego pracą o tym samym pisarzu (w „Messyjanistach i Słowianofilach“) wykazuje i głębsze wniknięcie w ducha poety chorwackiego i wzmoczenie się kierunku mistycznego w samym autorze. Jest to charakterystyka bardzo żywo odczuta i ładnie napisana, podobnie jak charakterystyka Asnyka w „Szkicach“.

Przejdźcie to do poetów przenosi nas na grunt estetyczny. I na nim p. Zdz. pozostaje wiernym sobie. Wielbi on piękno entuzjastycznie; sztuka, a zwłaszcza poezja przemawia silnie do jego duszy i w zachwyty ją wprawia, zachwyty szczery, jaknajdalej od afektacyi, w którą czasy obecne tak obfitują; atoli mimo cześć tę dla piękna artystycznie oddanego, nie traci on z oczu wielkich zadań, jakie sztuka winna mieć przed sobą w porywaniu nas „ku gwiazdom z dusznych nizin materializmu“. Odbiło się to wymownie w interesującej rozprawce p. t.: „Spór o piękno“.

Ściśle biorąc, jestto szereg artykułów, wywołanych pierwotnie polemiką, jaka się wszczęła pomiędzy ś. p. Stanisławem Szczepanowskim a krakowskim „Życiem“ o znaczenie pierwiastku moralnego i narodowego w dziełach sztuki. P. Zdz. stanął w obronie myśli, przez Szczepanowskiego wyrażonych (w artykule: „Ptąży a ptaki“), a

następnie poddał zagadnienie rozbirowi zasadniczemu, przywołując i roztrząsając najnowsze poglądy na sztukę, wygłoszone przez takich myślicieli-artystów jak Sully Prudhomme, Leon Tolstoj, Antoni Fogazzaro.

Oczywiście nie jest p. Zdziechowski zwolennikiem *wtłaczania* idej moralnych w dzieło sztuki, ale słusznie twierdzi, iż lekceważenie a tembardziej poniewieranie ich takie, jakie widzieć było można w utworach bezmyślnych naśladowców Przybyszewskiego, jest sprzeczne z samem pojęciem piękna. Pisarz może zgoła nie myśleć o dążności moralnej, tworząc powieść czy poezję; ale jeśli ma duszę szlachetną, to nic w nich nie umieści takiego, coby poczuciu szlachetnemu było przeciwnem.

Ażeby zaś wykazać, iż wywyższanie się artystów nad tłum, pogardzanie tłumem, żądanie dla artysty jakichś praw wyjątkowych nie jest nowością w dziejach sztuki, p. Zdz. przypomniał podobne uroszczenia wyrażane w początkach XIX wieku przez romantyków niemieckich; i wykazał, że rażące nasz zmysł moralny motywy Henryka Kleista i Zacharyasza Wernera, nie pozwalają nam i pod względem estetycznym doznawać zadowolenia rzetelnego.

Tym sposobem w różnych dziedzinach ducha wykazuje p. Zdziechowski znaczenie prawdziwej „religijności“.

P. CHMIEŁOWSKI.



Kursa wyższe dla kobiet.
im A. Baranieckiego
w Krakowie Karmelicka 33.

MISCELLANEA.

OBNAŻENIE DUSZ.

Byle zjadacz obiadów, byle poławiacz złota, byle snob, filister, pacholek pióra, stróż własnego worka, byle okaz, mianujący się człowiekiem na skutek przynależności zoologicznej – miewa chwile, w których mówi o „wewnętrznym rozdarciu“, o sprzeczności swych porywów, o rozpołowieniu swej duszy. Wtedy podnosi on ową wieczną kwestyę, ową nierozwikłaną zagadkę salonowej socyo-psychologii, owe nieskończone zagadnienie parterowych tematów gazeciarskich: czy *powinniśmy* rozwijać swoją indywidualność bez względu na takie lub inne wymagania społeczeństwa, bez liczenia się z jego potrzebami najpierwszemi, jego ideałami i opinią, czy też *powinniśmy* urabiać się na osobniki bezpośrednio pożyteczne, przystosowane do otoczenia, zgodne z typem ogółu i dla niego pracujące? Czy powinniśmy, tak w sztuce artystycznej jak i w sztuce budowania własnego życia, podejmować twórczą pracę na własną rękę, czy też odtwarzającą – na modłę uświęconą? Czy powinniśmy stawać się jednostkami o odrębności natężonej i oryginalności możliwie najdalej idącej, czy też szeregowcami powszedniości użytecznej? Czy, jednym słowem, powinniśmy iść na przebój, czy trwać w gromadzie?

Powinniśmy! Gdybyśmy się spytali, czy istnieje taka lub owaka powinność w postaci jakiegoś bezosobowego nakazu, niby pozazmysłowo nad nami zawieszzonego, usłyszelibyśmy niezawodnie odpowiedź: nie, o takim obowiązku nikt nie wie. Boć, przeciwnie, rozumieją wszyscy, jedni mętnie i obłudnie, drudzy jasno i otwarcie, że wszelka powinność jest *żądaniem* ludzi, jest rozkazem ludzkiej woli, jest przepisem, narzuconym naszemu postępowaniu przez wymagania ludzkie, jest kielznem, poruszanem ręką naszych bliźnich.

A więc, czy powinniśmy iść tą lub inną drogą? To zależy, skąd płynie ta powinność; można i tą, można i inną. Postawmy kwestyę jasno i wyplączmy ją z bałamuctwa ogólnikowości i ze złudy, że nakazy są powszechne.

Powinniśmy! Kto taki powinien? My. Kto to: „my“? Ja i inni ludzie.

Kto żąda? Ten, kto nakaz założył. Kto zatem w obecnym wypadku?

Ja.

Tak więc, ja żądam od siebie i innych albo rozwoju indywidualności bezwzględnej albo osobowości przystosowanej i uspołecznionej.

Ta alternatywa nie tworzy jedynie rozstaju dwu dróg, lecz kryje także rozdzielenie, rozgałęzienie w każdej swej części; w każdym „albo“, stają nawprost siebie dwa odpychające się bieguny, dwie energie sprzeczne — „ja“ i „inni“.

Kiedy w pierwszym „albo“ pozwalam sobie wyłącznie na rozpęd bezwzględny własnej oryginalności i upodobań, jestem pod wpływem pobudek egoistycznych. Kiedy zaś niekrępowany rozwój indywiduum stosuję jako nakaz do innych ludzi, im każę tem samem być egoistami; tylko taki właśnie nakaz, nakaz który dobrowolnie przeciwstawia innym mnie samemu i mnie właśnie skazuje na ofiarę, może być wytworem dobroci, uczuć moralnych.

Otóż, gdy z podobnem żądaniem występuję względem siebie i innych *jednocześnie*, to wpuszczam do swego przepisu jednocześnie dwa strumienie — zimny i gorący, egoizmu i altruizmu, gwałtownie odmienne i gwałtownie też różnice w skutkach mające.

Na takie żądanie jednostka każda może odpowiedzieć: każesz mi iść w kierunku wyższej własnej odrębności, to zacne z twej strony, to moralne; ale każesz to samo czynić i sobie i innym, a więc zbroisz siebie i ogół przeciwko mnie, to jest niecne, to niemoralne, i tego nie chcę.

Lecz nie zawsze oczekiwać można takiej odpowiedzi, i tu kwestya znowu się rozdwaja, zależnie od tego, jaką jest moc, jaką energia twórcza tych, którzy mają dać odpowiedź.

Kiedy Stirner lub Nietzsche w etyce, w sztuce np. impresyoniści, głoszą uwielbienie dla samoistości i egotyzmu i we wzmożonej potędze swych władz drwią z uspołecznionego stada, wtędy większość, która przecież składa się z miernot, miętusów i szaraków, woła: „to — egoizm, tak być nie powinno“. Oczywiście! Boć w zastosowaniu na kazu największego indywidualizmu, wszystkie korzyści są po stronie Nietzschego a nie — miętusa. Lecz kiedy, wobec podobnego przykazania, staje energia twórcza takiego np. Spencera lub Carlyle'a, nie doświadczają oni żadnej zgoła obawy — przeciwnie, chętnem i pobłażliwym okiem patrzą nawet na ekscentryczność“. Spencer właśnie broni poważnie osobliwego ubioru i długich rozwichrzonych włosów u artystów (największa zbrodnia w oczach wszelkiej „publiki“), ponieważ, powiada, jest to oznaką zewnętrzną odrębności duchowej.

Podobnie rzecz się ma z drugim „albo“: z obowiązkiem urabiania swej osobowości w zgodzie z wymaganiami otoczenia społecznego.

Gdy tę powinność narzucam samemu sobie, ulegam uczuciom moralnym, bo

z siebie ofiarę czynię; ale gdy te same jednocześnie więzy wkładam na innych, idę za głosem egoizmu, który usiłuje tych innych wyzyskać.

Dlatego i w tym wypadku wszystko w ostatniej instancy rozstrzyga *stopień energii twórczej jednostki*. Wstręt i oburzenie, które w niezależnych geniuszach, np. Byronie, budzi tłum ze swym dekalogiem przastosowania, pochodzi ztąd, że chociaż tłum powiada: powinniśmy, to jest powinien i *on* – tłum, to jednak *on* nic dać nie może, gdy w geniuszu bije życiodawcze źródło. I znów naodwrot: wielkie doktryny równości na modłę tołstojowską, apostołstwo ofiarnego obniżania siebie, przyjmowane są przez ogół z „tłumnym“ zadowoleniem.

Kto wobec tego odważy się wskazać, którą z dwóch dróg iść *powinniśmy*?

A. BAR.



BIBLIOGRAFIA.

CZASOPISMA.

Chimera. Zeszyt 18. Grudzień 1902. — Cyprian Norwid „Ostatnia z bajek“. — Marya Komornicka „Ze szlaków duszy“. — Leonidas Andrejew „Milczenie. Dzwony na trwogę“. — Paweł Verlaine „Godzina kochanków. Po trzech latach. Żalony dźwięk rogu“. — Tadeusz Miciński „Dolina mroku“. — Henryk Nencioni „Ogród śmierci“. — Fryderyk Nietzsche „Z psychologii sztuki“. — Michał Bielecki „Przypływ“. — Campanella „Dusza i ciało“. — Bronisława Ostrowska „O słonecznej Cud-Królewnie i o rysaku bań“. — Stanisław Wyrzykowski „Myśl“. — Maryan Zbrowski „Poeta“. — Juliusz Zeyer „Dom pod tonącą gwiazdą“. — Jan Lemański „Lycoperdon Giganteum“. — Rysunki, inicjały, ozdoby. Luca della Robbia, Józefa Mehoffera, N. S. Edwarda Okunia; Felicyana Ropsa, Jana Stanisławskiego, Maryana Wawrzeńckiego, Fr. Wojtali.

Przegląd Filozoficzny. Zeszyt IV za 1903 r. Dr. J. Kodisowa „Znaczenie kulturalne filozofii czystego doświadczenia“. — Stanisław Brzozowski „Co to jest filozofia“. — Dr. Antoni Złotnicki „Istota filozofii“. — Dr. K. Krauze „Wiek złoty, stan natury i rozwój w sprzecznościach“. — Przegląd krytyczny, naukowy, autoreferaty.

Nowe słowo № 23 i 24. Grudzień 1903. — Marya Turzyna „Mężna niewiasta“. — Iza Moszczeńska „Błąd zasadniczy“. — A. Szcycówna „Psychologia dziecięca a praktyka wychowawcza“. — K. Bujwidowa „Cele i zadania czytelni kobiecych“. — St. Lack „O literaturze kobiecej“. — Edward Leszczyński „Kołyaska“.

Biblioteka samokształcenia № 23 i 24. Grudzień 1903. — J. Radliński „Dzieje książki“. — St. Brzozowski „Świat nauki i świat filozofii“. — M. Heilpern „Nowe poglądy na zjawiska przyrody“. — Edward Libański „Z postępu techniki i przemysłu“. — W. Feldman „Młoda Polska w świetle krytyki“. — W dodatku „Zarys geografii Król. Pol.“ przez A. Nałkowską.

Tygodnik Ilustrowany. Grudzień 1903. — Stefan Żeromski „Popioły“. — A. Dobrowolski „Szkice włoskie“. — W. Sobieski „Żałobny hetman“. — Or-Ot „Choina“, wiersz. — Ryci-

ny: Boisson'a, Firlé'go, Friese'go, Geoffroy'a, Godman'a, Gorskiego, Holewińskiego, Kamińskiego, Wierusza-Kowalskiego, Madeyskiego, Matejki, Paradés'a, Sisley, Wyrzywalskiego, Wywiórskiego i innych.

Moderne Revue. Grudzień 1903. — Harold Nelson „Svatý liři“ — liři Karásek ze Lvovic „Zabavené básně z knihy „Sodoma“. — Sophus Michaëlis „Aebeloe“. — Jules Laforgue „Výbor básni“. — liři Karásek ze Lvovic, „Vá noce v Greccia“. — Josef Holý „Těžké zpívání o mem srdci“. — Friedrich Nietzsche „Zajezdy Nečosového“.

Hlidka. Grudzień 1903. — Dr. Alois Musil „Bibel nebo Babel?“ — František „Legenda Kristionova“. — Dr. Fr. Botek „Epigrafické studie“.



Odezwy.

KOMITET ZAŁOŻENIA POLSKIEJ AKADEMII ARTYSTYCZNEJ W RZYMIE.

«Wybitnie zaznaczający się ostatnimi laty ruch artystyczny w społeczeństwie polskim chlubnie świadczy o silnym rozwoju najmłodszego pokolenia. Młodzież nasza, w zwartym szeregu, z zapałem wdiera się po stromej, ciernistej drodze sztuki, pragnąc przebojem dopiąć jej szczytów. By rozwinąć i wysubtelnić Ideal piękna, dąży ku środowiskom zachodniej kultury — gdzie kształci się w trudzie i znoju — czasem o chłodzie i głodzie».

Marzeniem artystów całego świata jest najstarsze i najpotężniejsze ognisko Piękna — Rzym.

Wieczne Miasto, od dwóch tysięcy lat dzierżące berło Sztuki, jest nie tylko wielkim skarbcem arcydzieł ludzkiego geniuszu — ale podziś gorącą kuźnią talentów, zewsząd idących ku złocistym jego murom — ożywczą krynicą natchnień dla budzących i przeradzających się duchów Artyzmu.

Odczuły to i zrozumiały ludy romańskie, a po nich germańskie, bo niosąc pomoc spragnionym Rzymu artystom swoim, założyły własne akademie, w których miejsca są najwyższą nagrodą, tęsknotą serc młodych. I te Akademie już obchodzą uroczyste stoletnie rocznice swego istnienia — i są dobrą opatrnością rodaków.

Tylko my Polacy — równie płomienni w miłości dla Sztuki — nie mamy tam własnej Świątyni!...

A czas i na nas przychodzi!

W łonie rzymskiej kolonii polskiej myśl się zrodziła i oto ma się urzeczywistnić. Związało się grono ludzi jednym pragnieniem przejęte, jedną ideą spojone — i dąży do ściśle wytkniętego celu — a tym celem: Polska Akademia artystyczna w Rzymie!

Akademia w najszerszym pojęciu tego wyrazu — wyposażona w następujące instytucje:

1. Bezpłatny «pensjonat» dla utalentowanych artystów.
2. Wzorowe pracownie z wszelkimi środkami do studyów.

3. Wieczorna sala rysunkowa t. zw. sala aktu akademickiego.
4. Doborowa biblioteka dzieł z zakresu sztuki i archeologii.
5. Czytelnia pism polskich i zagranicznych.
6. Sala zebrań dla ziomków przebywających stale lub czasowo w Rzymie.

Oto myśl od lat kilku blakająca się wśród rzymskiej kolonii polskiej — teraz wybija godzina czynu.

W imię świętych praw Sztuki zwracamy się do ofiarności serc bratnich! Wszelkie dary, wielkie czy małe, zbliżą nas do ideału, co tchnieniem odrodzenia splywa ku nam z kopuły Piotrowej...

ZA KOMITET:

Prezes TEODOR RYGIER.

Zebrane kwoty lub pisemne zobowiązania do późniejszego wpłacenia pewnej sumy uprasza się do 1 marca 1904 r. przesyłać na ręce Dyrekcyi Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie lub wprost do Rzymu pod adresem prezesa Komitetu p. Teodora Rygiera (Roma, Lungo Tevere Prati 14—15).

Statut Akademii obejmuje następujący paragraf dotyczący przywilejów ofiarodawców:

- a) Ofiarodawcy, którzy złożyli 10000 rubli, otrzymują tytuł Członka założyciela i biust umieszczony w sali zebrań Akademii.
- b) Ofiarodawcy, którzy złożyli 1000 rubli, otrzymają tytuł Członka honorowego i będą imiennie umieszczeni na tablicy pamiątkowej w sali zebrań Akademii.
- c) Wszyscy inni ofiarodawcy z tytułem Członków rzeczywistych będą wpisani do pamiątkowej księgi Akademii.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE prosi nas o zamieszczenie w całości poniższej odezwy, do której przywiązuje szczególną wagę.

Dla Moniuszki. «Czynić wszystko, co może utrwalić pamięć mistrza pieśni polskiej» — oto hasło, pod którym założona z inicjatywy wielce zasłużonego sprawom społecznym ś. p. Jana Karłowicza Sekcja imienia Moniuszki przy Towarzystwie Muzycznym, w ciągu jedenastu lat istnienia, dzięki trwałemu popieraniu członków swoich, zdołała dużo skutecznie, lubo do wypełnienia całkowitego programu działalności sporo jeszcze zostaje.

Gromadzone rękopisy i pamiątki osobiste i rodzinne mistrza, dziś już stanowią bogaty materiał dla przyszłego muzeum imienia Moniuszki.

Wydawnictwo niedrukowanych jego utworów, rozpoczęte przez Sekcję z chwilą osiągnięcia tego dochodu rb. 1000 z koncertu w tym celu urządzonego w r. 1895, dosięgło już cyfry 56 utworów, w ich liczbie bardzo kosztownych, jak partytury orkiestrowe Halki, Sonetów Krymskich, Widm (Dziadów) i wyciągi fortepianowe do śpiewu Hrabiny, Verbum nobile, Flisa. Na samą orkiestrę wydano utworów 15. Moniuszko pozostawił w rękopisach niewydanych tak obfitą spuściznę, że wydawnictwa Sekcji bez trudu dojść mogą do stu dzieł.

Komitet Towarzystwa Muzycznego popierając wnioski Sekcji, wyjednał u władz pozwolenie na nadanie nazwy ulicy «Moniuszki» jednej z nowopowstałych ulic na placach po b. szpitalu Dzieciątka Jezus.

Zapoczątkowana jeszcze w r. 1891 przez p. Wł. Mierzwińskiego sprawa wystawienia w foyer teatru Wielkiego w Warszawie posągu marmurowego Moniuszki, pomyślnie załatwiona została w r. 1901 staraniem Sekcyi, popartem przez komitet Towarzystwa.

Magistrat miasta Warszawy w odezwie na imię komitetu Towarzystwa z d. 22 września r. z. 24398 (6263) udzielił przychylniej decyzji na kupno placu na cmentarzu Powązkowskim dla wybudowania grobu Moniuszki. Za zgodą piśmienną wszystkich dzieci jego, złożoną w dniu 22 kwietnia 1902 r., Sekcyja starała się, aby nowy grób mógł stanąć w miejscu dostępnem dla pragnących odwiedzać miejsce doczesnego spoczynku genialnego pieśniarza, o ile możliwości w bliskości kościoła. Jakoż przy łaskawem poparciu i życzliwości osób, wpływających na przebieg starań, nabyty został na imię Towarzystwa Muzycznego plac w oddziale 9, rzędzie 3, №№ 68, 69, 70 oznaczony, przy głównej alei cmentarza z tyłu kościoła. Jestto istotnie miejsce najlepsze, jakie wynaleść się dało w tej części cmentarza, dla wybudowania grobu z pomnikiem, mającego stanowić całość poważną, artystyczną. W grobie tym, zgodnie z życzeniem rodziny, spoczną obok zwłok mistrza i zwłoki oddanej mu za życia najwierniejszej towarzyszki i żony ś. p. Aleksandry Moniuszkowej. Sekcyja żywi głęboką ufność, że wśród tysięcy wielbicieli muzy Moniuszkowskiej znajdą się tacy, którzy dopomogą jej staraniom o uzyskanie środków na budowę grobu i pomnika. Oczywiście nie może być mowy o stawianiu kosztownego mauzoleum, na jakie Moniuszko zasłużył sobie, ale czego Sekcyja podjąć się nie może, mając dużo jeszcze innych ważnych potrzeb. Pragnie jedynie, aby grób miał, jak wyżej powiedziano, wygląd poważny, artystyczny. W tych warunkach Sekcyja ogranicza potrzebny na to fundusz do rb. 5000.

Jedną z najważniejszych prac Sekcyi, mającą bezwątpienia uwiecznić pamięć Moniuszki, stanowi powzięta przed dwoma laty uchwała utworzenia przy Towarzystwie Muzycznym stypendyum szkolnego dla jego potomków, łącznie z nagrodami konkursowemi jego imienia dla muzyków polskich. I tutaj Sekcyja znalazła pomoc i poparcie najżyyczliwsze. Komitet Towarzystwa otrzymał od p. Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego przy odezwie z d. 10 października r. z. № 18360 zatwierdzoną przez p. Zarządzającego Ministerjum Oświecenia Publicznego ustawę rzeczonoego stypendyum i nagród konkursowych. Dla ważności i szczegółowego objaśnienia przedmiotu, zamieszczamy tutaj ustawę w całości w dosłownym przekładzie.

U S T A W A

Stypendyum i nagród konkursowych imienia Stanisława Moniuszki, kompozytora polskiego, przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym.

Dla uwiecznienia pamięci Stanisława Moniuszki, kompozytora polskiego, Warszawskie Towarzystwo Muzyczne aktem darowizny z dnia 10 (23) Maja 1902 r., sporządzonym przed notariuszem Rogozińskim w Warszawie, ofiarowało czysty dochód z przedsięwziętych przez Towarzystwo wydawnictw utworów muzycznych zmarłego kompozytora, w wysokości nie przęnoszącej 10,000 rb., — na utworzenie funduszu, od którego procent przeznaczają się na wypłatę **stypendyum i nagród konkursowych** imienia Stanisława Moniuszki na warunkach następujących:

§ 1. Sumy stanowiące czysty dochód ze sprzedaży wydanych przez rzeczzone Towarzystwo utworów muzycznych Stanisława Moniuszki, w miarę wpływu zamieniają się na papiery

procentowe, nabywane według wskazówek komitetu Towarzystwa i przechowują się w Banku Handlowym Warszawskim do czasu, dopóki ogólna suma tych wpływów nie osiągnie 10,000 rubli.

Wpłata stypendium imienia Stanisława Moniuszki winna się rozpocząć zaraz po zebraniu funduszu rb. 10,000, który przelany zostanie na przechowanie do Kantoru Warszawskiego Banku Państwa, lub zabezpieczony na hypotecę nieruchomości w m. Warszawie z warunkiem, że fundusz stypendyalny winien być umieszczony bezpośrednio po pożyczce Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, stanowiącej nie mniej niż 10,000 rb. Fundusz stypendyalny imienia Stanisława Moniuszki pozostaje na zawsze w rozporządzeniu Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

§ 2. Prawo korzystania ze stypendium, wydawanego z procentu od powyższego funduszu, mają wyłącznie prawni, niezamożni potomkowie Stanisława Moniuszki, płci męskiej, narodowości polskiej, wyznania rzymsko-katolickiego, pochodzący od synów jego: Stanisława, Bolesława i Jana, i córek: Elżbiety Nawroczyńskiej, Jadwigi Skrobańskiej, Zofii Wyhowskiej i Cecylii Moniuszkówny. Pierwszeństwo przy wyznaczaniu wakującego stypendium mają zawsze noszący nazwisko „Moniuszko“, ubożsi przed mniej niezamożnymi.

§ 3. O wakującym stypendium komitet Towarzystwa Muzycznego ogłasza z początkiem roku szkolnego. Ubiegający się o stypendium winien najdalej w ciągu miesiąca od dnia ogłoszenia o wakansie złożyć komitetowi Towarzystwa należycie poświadczone dowody swego pochodzenia, stanu majątkowego i świadectwo zakładu naukowego, że do niego uczęszcza. Komitet Towarzystwa ocenia prawa kandydatów i przeznacza stypendium najbardziej zasługującemu.

§ 4. Prawo korzystania ze stypendium imienia Stanisława Moniuszki mają wychowawcy zakładów naukowych rządowych w guberniach Królestwa Polskiego, wszelkich typów, nie wyłączając i szkoły początkowej. Wychowawcy szkół prywatnych z prawami szkół rządowych, mogą korzystać ze stypendium w takim tylko razie, jeżeli dowiodą, że uczęszczają do szkoły prywatnej dla braku miejsca w odpowiednich zakładach naukowych rządowych.

Otrzymujący stypendium może z niego korzystać w zakładach naukowych wyższych, tak w guberniach Królestwa Polskiego jak i w guberniach wewnętrznych Cesarstwa, o ile zasługiwać na to będzie postępami w naukach i sprawowaniem.

§ 5. Komitet Towarzystwa Muzycznego asygnuje stypendium półrocznie z góry, licząc półrocznie od 1 lipca i od 1 stycznia i o każdej wypłacie stypendium z oznaczeniem wysokości wydanych pieniędzy, zawiadamia władzę tego zakładu naukowego, którego wychowawcą jest stypendysta.

§ 6. Z funduszu imienia Stan. Moniuszki wypłaca się stypendyście: w szkole początkowej po 180 rubli rocznie; w zakładzie naukowym średnim — po 240 rubli rocznie; w zakładzie naukowym wyższym — po 300 rubli rocznie; pozostały zaś procent od funduszu stypendyalnego rb. 10000, zapisuje się na rachunek stypendysty i wypłaca się mu z narosłymi procentami po ukończeniu przez niego zakładu naukowego wyższego. Komitet Towarzystwa Muzycznego, po sprawdzeniu dowodów o ukończeniu przez stypendystę zakładu naukowego wyższego, bezzwłocznie asygnuje przypadające stypendyście jego oszczędności i ogłasza o tem w najbliższym sprawozdaniu rocznym Towarzystwa.

§ 7. Jeżeli stypendysta pozostawiony będzie na rok drugi w tej samej klasie, lub na tym samym kursie i nie dowiedzie, że to nastąpiło nie z jego winy, w takim razie traci prawo do zbranej za ten rok oszczędności.

§ 8. **Na nagrody konkursowe** imienia Stanisława Moniuszki dla kompozytorów polskich przeznaczają się wszelkiego rodzaju środki, powstałe: a) z niewydatkowanego w którym bądź roku stypendium; b) w skutek pozbawienia stypendysty prawa do otrzymania oszczędności,

zarówno z powodu pozostawienia go na rok drugi w tej samej klasie lub na tym samym kursie, jakoteż z powodu nieukończenia przez niego zakładu naukowego wyższego; c) z dochodu od wylosowanych papierów procentowych, w których przechowywać się będzie fundusz stypendyalny; d) z ofiar dobrowolnych członków Towarzystwa Muzycznego Warszawskiego na powiększenie funduszu imienia Stanisława Moniuszki; i e) z innych nieprzewidzianych dochodów funduszu.

Przy określeniu prawa pierwszeństwa kompozytorów do otrzymania nagrody konkursowej imienia Stanisława Moniuszki, utwory muzyczne, co do charakteru swego, grupują się w następującym porządku: symfoniczne, kameralne, religijne, operowe, kantaty i pieśni jednogłosowe i wielogłosowe. Teksty utworów religijnych winny być polskie lub łacińskie, zaś teksty innych utworów wyłącznie polskie. Bliższe warunki podziału, wysokości i sposobu wypłaty nagród konkursowych, w każdym oddzielnym wypadku, określa i ogłasza komitet Towarzystwa Muzycznego. Wysokość jednej nagrody konkursowej nie powinna przewyższać 1000 rubli.

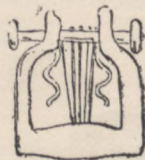
§ 9. Gdyby Warszawskie Towarzystwo Muzyczne istnieć przestało, w takim razie powinno przelać cały ten fundusz, zgodnie z § 28 swojej ustawy, przed zwinieniem Towarzystwa, razem z aktami i wszelkimi rachunkami innej, odpowiedniej instytucji muzycznej polskiej w Warszawie, z warunkiem ścisłego przestrzegania i wykonania wszystkich powyżej wyszczególnionych przepisów.

OGŁOSZENIA

— Dnia 1 października r. b. opuści po raz pierwszy prasę „*Rocznik Literacko-Artystyczny*“ (encyklopedyczny) na r. 1905, zawierający: dokładne biografie, oraz adresy wszystkich żyjących polskich literatów i dziennikarzy, artystów dramatycznych, śpiewaków, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, rysowników, profesorów muzyki, śpiewu, deklamacji, malarstwa, rzeźby, rysunków i t. p., oraz informacje z dziedziny literatury, dziennikarstwa, sztuki i sztuki stosowanej.

Nadto „*Rocznik*“ obejmować będzie wszelkie informacje dotyczące składu osobistego wszystkich teatrów polskich, oraz instytucji muzycznych, naukowo-artystycznych polskich i zagranicznych, bibliografię za rok bieżący, przeglądy wystaw sztuk pięknych etc.

Uprasza się pp. literatów, dziennikarzy, artystów i t. p. o nadsyłanie krótkich życiorysów swoich z wyszczególnieniem prac, oraz adresów i t. p. — Redakcja „*Rocznika Literacko-Artystycznego* na rok 1905“ Warszawa, Szpitalna 10.



MAGAZYN I PRACOWNIA A
WYROBÓW JUBILERSKICH

M. WRZEŚNIEWSKI

Warszawa, Plac Teatralny 9. AAAAAA

Polica także w dufnym wyborze:

PIERSCIONKI, BRANSOLETY, BRANSOLETY,

LANCZYCHY, DŁUGIE, SEVINE DLA

DEWIZY, SŁOŃKA, PAPIEROSNICE

OGŁOSZENIA.

DLA PAŃ Z IMIAMI, BRYLANCAMI I PERLAMAMI

OGROMNY WYBÓR

Złoty i srebrny pięknie smaltowany:

CYFROWANYCH W STYLU MODERNISTYCZNYM

WYCIĘTNIKÓW NA PODARUNEK, JAKO TO:

KOMBINERKI, KOSZYKI, FLAKONY DO

PERFUM I SOŃ, WAZONY DO KWIATÓW

NOŻY DO PAPIERU, KACZKI DO LASER

PARASOLE, PUDEŁKA DO CYGAR I PAPIEROSÓW

ZAPALNICZKI I INNE

Ceny bardzo niskie, bez względu na ilość zamówienia.

OGGOSZENIA

Marszałkowska 150.

BOGUSŁAW
HERSE

STROJE

NOWOŚCI

SUKNIE
KOSTYUMY
OKRYCIA
FUTRA

KORONKI
WSTĄŻKI
JEDWABIE
WEŁNY





Parowa Fabryka Mebli Stylowych
Stanisław Dymmek

WARSZAWA — PRUSZKÓW.

MAGAZYN: Warszawa, Erywańska Nr. 9. — FABRYKA: w Pruszkowie.

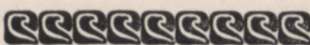
Pierwsza w kraju Twórcza
 Ozdobnych Skór
 Stylowych

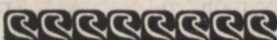
Warszawa, Erywańska Nr. 9.



Moderni Revue

vychází každého měsíce

Redaktor a vydavatel 

 ARNOST PROCHÁZKA

ROĚNĚ 10 korun

Administrace i redakce u Praze I-278.



Adres. telegr.: Puls—Warszawa.

ROK ZAŁOŻENIA 1852.



AKCYJNE TOWARZYSTWO

Warszawskiej Fabryki Perfum

Fryderyk PULS

w Warszawie.

POLECA:

PERFUMY Exquis, Wedgwood, Orchidée, Viola Nostra, Marie Antoinette.

MYDŁA Wedgwood, Moderne, Viola Nostra, Marie Antoinette, Peau d'Espagne.

WODY KOŁOŃSKIE Royale, Holenderska, du Monde élégant.

Fabryka nagrodzona licznymi medalami na wystawach krajowych i zagranicznych i **DYPLOMEM HONOROWYM** na Wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie.

WYROBY PULSA DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE W LEPSZYCH PERFUMERYACH i SKŁADACH MATERIAŁÓW APTECZNYCH.

Skład Główny: Plac Teatralny Nr. 11.

Filia: Nowy Świat Nr. 41.



M. Mankielewicz.

Dr. Markiewicz.

Fryderyk PUKS

Wydawca w Warszawie.

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

W Administracji

ATENEUM

Jasna 6

są do nabycia

Cezarego Jellenty

| | Rb. k. |
|--|--------|
| Wszechpoemat i najnowsze jego dzieje, | |
| Prometeiści. | 2.— |
| Juliusz Słowacki dzisiaj | 1.— |
| Nurty | |
| Ogniwa dramatyczne. | 1.— |
| Kraswa. Z Cyklu „Mity“ | 80 |
| Orfan. Poezycze | 1.50 |

Prenumeratorzy „Ateneum“ kosztów przesyłki nie ponoszą.

